№ 14. Warszawa, dnia 5 Kwietnia (24 Marca) 1884 r. Rok IV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Włodzimierska Nr. 2.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Daremna groźba.

W piśmiennych odezwach i ustnych przemówieniach Leon XIII, śladem swego poprzednika, skarży się na krzywdy, wyrządzane systematycznie Kościołowi przez rząd włoski a między swe żale wsuwa niewyraźną i do niczego nieobowiązującą groźbę opuszczenia Rzymu. Groźbę tę wydobywają i zaostrzają dzienniki watykańskie, które przez pewien czas podtrzymują wiarę w możliwość wyniesienia stolicy papieskiej z „niewdzięcznego kraju" a raczej z pod „okrutnego rządu" gdzieś — niewiadomo gdzie — na odludną wyspę, do Hiszpanii lub Austryi a nawet do Niemiec. Gdy lat temu kilka ks. Bismark oświadczył, że głowie Kościoła nie zamknąłby wrót swego państwa i nie obawiałby się wzmocnienia katolicyzmu, gdyż papież, widziany z bliska, przestałby wywierać urok na rzeszę Windhorsta, — owa wieść długo obiegała dzienniki europejskie z cechą wiarogodności. I oto znowu się ona wynurza, znowu telegramy głoszą za rzecz pewną, że Leon XIII, „popchnięty do ostateczności", nie zawaha się przed tym krokiem, który go uwolni od „prześladowania." Mamyż rzeczywiście w niedalekiej przyszłości fakt, który byłby nie tyle ważnym, ile niezwykłym?

W całej tej sprawie komedyi jest dużo, ale i pierwiastku dramatycznego nie brak. Nie ulega wątpliwości, że rząd włoski składa się z jagniąt, a nie z tygrysów, rozszarpujących bezbronną ofiarę. Ale ostatecznie jest to rząd, który musi i chce dbać o dobro swego narodu, musi i chce pracować nad usunięciem wszelkich klinów, rozłupujących niedawno i słabo spojone państwo. Zacnej pamięci zmarły monarcha pozostawił synowi swemu robotę nieukończoną i ściśle określony plan działania; ten więc syn ma do wyboru: albo zrzec się myśli ostatecznego zjednoczenia i wyzwolenia Włoch, albo iść dalej w tym kierunku. Ani jako człowiek rozumny, pojmujący dobro swego narodu, ani jako król, posiadający swoje ambicye, na pierwszą drogę nie wstąpi; pozostaje mu więc tylko druga: strzożenie nabytków i granic rozszerzonych przez ojca kosztem władzy kościelnej oraz posuwania ich do tych kresów, na których istnienie państwa w państwie się kończy. Jest to konieczność, której nie złamie ani twardy opór Leona, ani miękka łagodność Humberta. Jeżeli staniemy na stanowisku zasady, że „wszystko, co jest, jest rozumnem" a zwłaszcza jeśli słuszność tej zasady ograniczymy do pewnych dat i faktów, to naturalnie roszczenia papieża wydadzą nam się sprawiedliwe; państwo kościelne było rozumnem, bo — było. Zresztą, kto, ludzką skalą mierząc ludzi, nie pojmie, że utrata władzy świeckiej i ciągłe jej uszczuplanie są dla głowy Kościoła przykre? Pomimo całej miłości dla dóbr niebieskich ziemskie smakować nie przestają. „Dobrowolne więzienie," jako ofiara, znośne na rok, dwa, trzy, ale jako zajęcie stałe podobać się nie może. Nadto w ostatnich czasach do wielu chronicznych utrapień przybyła konfiskata majątku Propagandy wiary — rana w splocie nerwów najczulszych. Wszystkie te względy razem zdolne były rozdraźnić papieża i pobudzić go do gróźb gniewnych!

Ale czy on je spełni? Czy opuści Rzym? Wątpimy. Są instytucye, są władze, których istnienie zależy od zajmowania pewnego gruntu.

Państwa kościelnego po za Włochami i Rzymem nikt sobie nie wyobraża i nikt do założenia go gdzieindziej nie pomoże. Gdyby papież opuścił dotychczasową swoją siedzibę, rozproszyłby ostatecznie nawet fikcye, nawet pozory swych praw, położyłby ostateczną pieczęć na fakcie spełnionym i zamknął tę przeszłość, z której „progu — według wyrażenia naszej poetki — sam Bóg czynów nie odwoła." W Rzymie bronią sprawy papieskiej, oprócz traktatów, wspomnienia, tradycye, nałogi, wiekowy związek instytucyi z miejscem — cały ten orszak pierzchnąłby odrazu, gdyby stolica apostolska rozbiła swe namioty gdzieindziej. Papież nie przestałby być głową katolicyzmu, ale straciłby nietylko resztę swej świeckiej władzy, ale nawet połowę swego religijnego kroku.

Rozumie to bardzo dobrze Leon XIII i dlatego nigdy takiej „groźby" wyraźnie nie wypowiedział. Pozostawia to pismom watykańskim, które, chociaż przemawiają w imieniu i za zgodą swego pana, nie obowiązują go do żadnych postanowień. Właściwie zatem pytać jedynie należy: czy tego rodzaju „strachy na lachy,"

t. j. na Włochy podziałają? Dotąd nie dostrzegliśmy pożądanego przez nich skutku. Plotki o gotowości rządu włoskiego do poddania sporu (o konfiskatę dóbr Propagandy) pod uznanie trybunału europejskiego są bardzo wątpliwej prawdy. Ani papież na takim procesie by nie skorzystał, ani król Humbert na rozstrzygnięcie domowego zatargu przez sędziów obcych by się nie zgodził. A jeżeli to wyjście zamknięte, siła słabsza musi ustąpić przed mocniejszą. Gdy więc pierwszy gniew przeminie, ułożą się zapewne do (niedługiego) snu pogróżki prasy klerykalnej o zmianie lokalu Ojca św. Pozostanie on w dotychczasowym — bo nigdzie wygodniejszego i bezpieczniejszego nie znajdzie, chociaż rzeczywiście dawno już papież nie cieszył się taką przyjaźnią rządów, jak obecnie. Ogólny niemal w Europie zwrot polityczny ku zasadom konserwatywnym uczynił go sprzymierzeńcem nawet tych mocarstw, które nie pozostają pod religijnem zwierzchnictwem Watykanu lub toczą z nim walkę (Niemcy). Ale od tej przyjaźni do wskrzeszenia utraconych niepowrotnie praw świeckich jeszcze bardzo daleko!

Szkoły rolnicze.

Nie ma potrzeby szczegółowo wykazywać, jak doniosłe znaczenie posiada sprawa zakładania niższych szkół rolniczych dla rozwoju wytwórczości rolnej, dla dobrobytu kraju. Dziś już połowa prawie gruntów znajduje się w ręku drobnych posiadaczy, a proces dzielenia większych obszarów odbywa się ciągle; tymczasem produkcyjność małych gospodarstw wzrasta bardzo nieznacznie. Jakkolwiek nie ufam zbytecznie wiarogodności cyfr statystycznych, sądzę, że posłużyć one mogą, jeżeli nie za miarę, to chociaż za wskazówkę.

Otóż cyfry te dowodzą, że w czasie, w którym produkcyjność wielkiej własności u nas wzrosła o 60%, małej—tylko o 15%. Ale i to jest wątpliwem, bo w wielu miejscowościach włościanie od trzypolówki przeszli do dwupolowego systemu gospodarstwa. Zwiększył się więc tylko obszar uprawnej ziemi, ale nie jej wydajność. Jakkolwiek ta zmiana na gorsze znajduje swe usprawiedliwienie a raczej wytłomaczenie w braku ziemi, nie może nie budzić poważnych obaw fakt upadku kultury, prowadzący za sobą konieczne wyczerpanie urodzajności gruntów. Podniesienie więc poziomu gospodarstw włościańskich staje się sprawą niecierpiącą zwłoki i w tym względzie szkoła, która nauczy chłopa lepszych sposobów uprawy, racyonalniejszej hodowli inwentarza, zastosowania odpowiednich narzędzi i gatunków zboża do siewu—daleko korzystniejszy wpływ wywrzeć może, aniżeli pomoc instytucyj kredytowych, o których marzą jeszcze niektórzy nasi publicyści. Kredyt, chociażby najtańszy, nieumiejętnego nie nauczy, ciemnemu nie rozjaśni w głowie; zresztą wieśniak ani maszyn kupować, ani kosztownych ulepszeń zaprowadzać nie będzie. Potrzeba mu tylko ziemi, na której mógłby pracować, i wskazówek, jak ze swej pracy wyciągnąć odpowiednie zyski. To ostatnie choć w części mu da szkoła, ale nie należy sądzić, że da mu wszystko, bo nie poprawi np. hodowli bydła bez reproduktorów, nie wprowadzi nowych gatunków zboża itd.

Brakom tym zaradzić by mogły ponikąd wzorowe fermy przy szkołach.

Ustawa szkół rolniczo-gospodarskich zatwierdzoną już została ostatecznie. Nie zawiera ona żadnego wyjątku dla Królestwa, sądzić więc wolno, że obiegające szpalty miejscowych dzienników pogłoski o zamierzonych wyłączeniach i ograniczeniach nie mają podstawy. Rząd nie myśli bynajmniej o zakładaniu tego rodzaju szkół i pozostawia zupełnie swobodne pole inicyatywie prywatnej osób lub instytucyj. Ustawa określa jedynie program i reguluje kwestyę zarządu szkół, rząd zaś nie odmawia zapomogi bądź to w ziemi (nie więcej jak 500 dziesięcin), bądź to w pieniądzach (najwyżej 3500 rs. rocznie.

Niższe szkoły rolnicze mają na celu rozpowszechnianie pomiędzy ludem zasadniczych pojęć gospodarstwa rolnego i naukę związek z niem mających rzemiosł, przeważnie za pomocą zajęć praktycznych. Pozostają one w zawiadywaniu departamentu rolnictwa i przemysłu rolnego ministeryum dóbr państwa a zakładane być mogą przez ziemstwa, towarzystwa i osoby prywatne. Na otwarcie zakładu potrzebnem jest zezwolenie ministra. Może on być bądź to ogólnym przeznaczonym dla nauki gospodarstwa wiejskiego, bądź specyalnym (dla sadownictwa, ogrodnictwa, pszczolarstwa). Oba rodzaje odpowiednio zakresowi ich kursu dzielą się na szkoły pierwszego i drugiego stopnia. Kurs nauk jest trzyletni.

W szkołach pierwszego stopnia wykładane będą następujące przedmioty: 1) objaśnienie najprostszych sposobów mierzenia ziemi; 2) niezbędne dla rolnika wiadomości podstawowe z nauk przyrodniczych; 3) praktyczne rolnictwo z krótkim wykładem specyalnych jego gałęzi (ogrodnictwa, leśnictwa itd.) właściwych tej miejscowości, w której szkoła istnieje a także z wykazaniem szkodliwych dla gospodarstwa zwierząt i sposobów ich niszczenia; 4) hodowla bydła i najprostsze sposoby jego leczenia; 5) główne prawa dotyczące bytu włościan; 6) śpiew kościelny (?).

W szkołach drugiego stopnia: 1) objaśnienie ważniejszych dla rolnika zjawisk przyrody; 2) nauka o pożytecznych i szkodliwych dla gospodarstwa roślinach i zwierzętach; 3) zasadnicze pojęcia o prawidłowym sposobie uprawy ziemi i obchodzeniu się z pożytecznemi roślinami i zwierzętami, hodowanemi w tej miejscowości, gdzie szkoła istnieje i 4) śpiew kościelny. Niezależnie od tego programu powtarzane będą ogólno-kształcące przedmioty, których znajomość wymaganą jest przy wstąpieniu do szkoły, mianowicie do szkół pierwszej kategoryi świadectwo z ukończenia kursu 2-klasowej szkoły wiejskiej, a do drugiej — szkółki elementarnej.

W specyalnych szkołach przedmioty i zakres wykładów ustanawia za każdym razem minister dóbr państwa, stosownie do celu założenia i wymagań miejscowych. Jeżeli w pobliżu nie ma szkół elementarnych, mogą być otwarte przy szkole rolniczej klasy przygotowawcze. Program powyższy po porozumieniu się z odnośną władzą może być w każdym razie uzupełniony lub zmodyfikowany, tylko warunki wymagane od wstępujących nie ulegają zmianie.

Środki pieniężne składają się z zapomóg udzielanych przez rząd, z dochodów gospodarstwa, z sum udzielanych szkole przez właściciela majątku, w którym ją otworzono, i z ofiar składanych przez instytucye lub osoby prywatne.

Zarząd szkoły pod względem gospodarczym i naukowym należy wyłącznie do dyrektora, mianowanego jedynie z osób, które ukończyły kurs wyższego lub średniego zakładu rolniczego, za zgodą kuratora lub właściciela majątku, w którym istnieje szkoła. Od nauczycieli wymagane są też same kwalifikacye; tylko w szkołach specyalnych wykładać mogą osoby, które chociaż nie ukończyły kursu, dowiodły jednak fachowego wykształcenia. W zakładach, któ-

---

¹)

Anemiczna.

Przypadkowo musiała odbyć sama kuracyjny spacer w lesie z rana i, wracając, zbłądziła. Stała przeszło kwandrans nad dwiema rozchodzącemi się w różne strony ścieżkami, nie wiedząc, którą z nich wybrać. Wprawdzie pośrodku, na drzewie, przybity był cokolwiek już zatarty napis: „Zu den Curhäusern," lecz mógł on się odnosić zarówno do jednej, jak i do drugiej drożyny. Na bladą twarz Wandy o matowej cerze i ściągłych policzkach wystąpiły lekkie, jak obłoczek różowej gazy, rumieńce zaniepokojenia; oddychała trochę szybciej, aniżeli zwykle, i rozglądała się trwożliwie dokoła. Ale nawet i w tej jej trwodze widać było pewną powolność, towarzyszącą każdemu ruchowi; członki jej nie posiadały sprężystości, właściwej zdrowym, dobrze zbudowanym organizmom. Krew krążyła w niej powoli, nie podniecając przez to giętkości i energii mięśni. Zmęczona usiadła leniwie na wystającym kawałku ściętego pnia drzewnego. Szmer spływającego z góry strumienia, zabierającego po drodze coraz to nowe, czyste źródełka, działał na nią jak czar hypnotyzmu: zdawała się zasypiać, nie zamykając oczu. Przez kilka minut była w prawdziwym letargu. Ocknął ją z niego odgłos zbliżających się kroków. Podniosła oczy i spojrzała w stronę, skąd biegło echo. Uczuła lekki zawrót w głowie na widok masy piętrzących się wschodów. Kilka największych, ręką ludzką zrobionych stopni ginęło w drzewach i krzakach. Gałązki w krótce poruszyły się; jak z ram obrazu, wyskoczyła z pomiędzy nich wygięta w tył dla równowagi postać mężczyzny, zbiegającego szybko.

Był to ten sam młody człowiek o śniadej twarzy i czarnych palących oczach, którego Wanda od dwóch tygodni ciągle spotykała, a który nieraz natrętnie śledził ją wzrokiem. Miał na sobie ubiór austryackiego wojskowego, nadający każdemu jego poruszeniu pewien rodzaj wytwornej niedbałości. Kąty ust i łuki brwi nad czołem ściągał mu wyraz lekkiej ironii, nabytej zapewno przez życie.

Zobaczywszy go, drgnęła. Zdawało jej się, że coś rzuciło w niej serce aż pod samą powierzchnię klatki piersiowej. Krew podbiegła pod same jej źrenice i zasłoniła je, przelewając się w głowie szybkim, gwałtownym strumieniem. Wanda zachwiała się, lecz mimo to wstała i podeszła do drzewa, na którem był napis: „Zu den Curhäusern" i pozornie, czy też rzeczywiście zaczęła go odczytywać po raz setny.

— Wreszcie! — szepnął sam do siebie młody wojskowy, stanąwszy za małą i szczupłą postacią dziewczęcia.

Szepnął to miękkim, włoskim wyrazem, a następnie, zbliżywszy się do Wandy z ukłonem, zapytał łamaną niemczyzną:

— Pani zbłądziła: czy wolno mi będzie wskazać właściwą drogę?

Ona spojrzała dokoła, badając, czy nie nadejdzie skąd inna pomoc; w końcu, widząc się zupełnie opuszczoną, przyjęła ofiarowane przewodnictwo.

Schodzili na dół stromą i niezbyt wygodną ścieżką, pełną oślizgujących się co chwila, wilgotnych pod wpływem dżdżystego sierpniowego ranka kamieni. Wanda co powien czas musiała przystawać i czerpać oddech z głębi piersi. Głowa ciężyła jej; w skroniach od samego rana czuła rwanie. Ilekroć nogi jej poślizgnęły się o wilgotny kamień, młody wojskowy wspierał ramieniem jej kibić. Jeżeli spojrzała wów-

re otrzymują zapomogę rządową dyrektor i nauczyciele zatwierdzani być muszą przez ministra dóbr państwa, co pozwala wnosić, że jeżeli szkoła istnieje z funduszów prywatnych, zatwierdzenie nie jest koniecznem i wybór osobitości nieskrępowany zgoła.

Normalny etat szkół, otrzymujących zapomogę rządową wynosi 2500 rs. t. j.: dla dyrektora i trzech nauczycieli po 500 rs.; na naukę religii 150, śpiewu 50 i na inne wydatki — 300 rs. Pensye co pięć lat podwyższają się, a po dwudziestu latach podwajają.

Jak widzimy, program ułożony został właściwie i szczęśliwie uniknął przeładowania przedmiotami teoretycznymi, co jest wadą wszystkich prawie szkół specyalnych w Rosyi. W założeniu i organizacyi inicyatywa społeczna znaleść również może szerokie i swobodne pole działania. Czy jednak zakłady te dostarczą ludowi pożądanych wiadomości? Pod tym względem nasuwa się pewna wątpliwość. Ustawa w jednej i tej samej szkole pragnie kształcić oficyalistów gospodarczych i samodzielnych drobnych rolników, tymczasem wymaga to odrębnych szkół i innej praktyki. Mała ferma doświadczalna nie da oficyaliście wiadomości potrzebnych przy prowadzeniu większego gospodarstwa, jeżeli zaś praktyka prowadzona będzie na wielką skalę, nic prawie nie skorzysta z niej drobny rolnik, a straci tylko sporo czasu na nabycie doświadczeń zbytecznych. Uprawa ziemi, chów inwentarza, zastosowanie narzędzi rolniczych a zwłaszcza administracya gospodarstwa są i z natury rzeczy pozostać muszą odmiennemi na wielkich obszarach i małych działkach. Widocznie ze względów finansowych ministeryum wybrało mieszaną formę. Nadanie 500 dziesięcin gruntu jest zbytecznem, jeżeli szkoła przygotowywać ma praktycznych drobnych rolników. Pożądanem byłoby, żeby przynajmniej szkoły, korzystające z zapomogi rządowej, nie odbiegały od tego celu i jemu wyłącznie się poświęciły. Bo co do zakładanych przez właścicieli większych majątków, te z pewnością ograniczą się tylko do przygotowania odpowiednio uzdolnionych oficyalistów. Inaczej zresztą być nie może. Ze szkół takich chłop nie skorzysta, chyba że zapragnie swego syna wyrobić na ekonoma.

Nie mają więc żadnej racyi nawoływania ziemian do otwierania takich przybytków, bo to leży we własnym ich interesie; ani oświecanie działalności w tym kierunku aureolą posłannictwa obywatelskiego. Owszem, tego rodzaju szkoła, to niczły interes, o czem świadczy istniejąca od lat kilkunastu w kurskiej gubernii, w majątku p. Rebindera. Chłopcy od lat 14—18 zastępują miejsce czeladzi i otrzymują odpowiednie wynagrodzenie. Jeżeli jednak chcemy, żeby szkoła wykształciła drobnych rolników, urządzić ją trzeba na innych zasadach i z większym nakładem kosztów. Wymaga to dość znacznych ofiar materyalnych i starań osobistych, ale miejmy nadzieję, że znajdą się w społeczeństwie ludzie dobrej woli *) i możności, którzy dla młodszych braci obowiązek ten spełnią. Brak instytucyj, jak np. ziemstw, które rzecz całą wzięłyby na siebie spotęgować tylko winien poczucie obywatelskie w tym kierunku.

P.

MACIERZYŃSTWO.

Badaniom etnograficznym i antropologicznym wielką dotychczas szkodę wyrządzał pogląd etnocentryczny, właściwy w początkach umiejętności wszystkim ludom starego i nowego świata, starożytnych i nowszych czasów. Rozumiemy przezeń owo wrodzone człowiekowi zapatrywanie się na świat i ludzkość ze stanowiska własnej wyższości i odnoszenie całego otaczającego świata do siebie samego jako do środka i osi głównej, koło której świat cały kołuje. Wiadomo, że w astronomii obalił mylne to zapatrywanie (*geocentryzm*) Kopernik; nowożytne przyrodnictwo wyzwoliło się z pod gniotącego je jarzma *antropocentryzmu*, ogłaszającego człowieka panem natury, dla którego wygody i użytku Bóg stworzył świat roślinny i zwierzęcy. Do dziś jednak ani etnografia, ani umiejętności polityczne, moralne i historyczne nie uwolniły się jeszcze z pod starego przesądu etnocentryzmu. Każdy lud uważa *siebie* za wybranego; *sobie* przysądza najwyższą i najświetniejszą *misyę* w świecie politycznym; tylko *swoje* ideały nazywa pięknem; tylko *swoje* zwyczaje i obyczaje moralnymi; *swoje* kształty i postacie estetycznymi; nawet cerę swoją uważa za najładniejszą.

Z takich zapatrywań etnocentrycznych wynikało co najmniej to, że uczeni i badacze swojemu narodowi przysądzali zawsze jakieś szczególne, od wszystkich innych odróżniające go cechy i że przedewszystkiem starali się zawsze przedstawiać go jako od innych różny i różnymi rysami charakterystycznymi odznaczający się. W przedstawieniach tych było zawsze dużo przesady.

Ktokolwiek zna historyków narodowych Francyi, Niemiec, Anglii i naszych także, ten wie, że każdy z nich, opisując swój naród przyznaje mu zawsze wszelkie przymioty szlachetne, jak np. zamiłowanie swobody, waleczność, gościnność itd. a jeżeli unikając zarzutu stronniczości, wymienia także wady, to zawsze takie, które nie są bez pewnego powabu poetycznego, jak np. skłonność do bijatyk, do zbytkowania w napojach gorących itd. Ten stan dzieciństwa umiejętności nie przeminął jeszcze zupełnie w Europie.

Nie mniej jednak występuje już dziś inny kierunek i inny pogląd, bardziej umiejętny, który badając człowieka i ród ludzki, szuka przedewszystkiem rysów podobnych, wynikających wszędzie i zawsze z jednej i tej samej natury ludzkiej; a śledząc powstanie i początki obyczajów i zwyczajów oraz istytucyj porównywa je u najrozmaitszych ludów i nie waha się stosunki i urządzenia własnego narodu stawiać na równi ze stosunkami i urządzeniami najdzikszych ludów. Wykazują one w najróżniejszych formach zawsze tę samą *istotę*, wynikającą z jednej i z tej samej natury ludzkiej, niezmieniającej się pod cerą białą, czarną lub żółtą, ale zmieniającą tylko formy swe w miarę większego *rozwoju* społecznego i w miarę różności otaczających ją warunków życia.

Ten zwrot nauki otwiera dla badań etnograficznych i antropologicznych dalekie i nowe zupełnie widnokręgi.

Nie drobnostkowa próżność narodowa, ale poważne usiłowania, odkrycia prawdy biorą dziś górę. W badaniach etnograficznych i antropologicznych ustępują coraz więcej dążności etnocentryczne, mające na celu apoteozę jednego narodu lub, jednej rasy, a natomiast przeważa chęć zbadania natury społecznej gatunku: *homo sapiens*.

W związku z tym nowym kierunkiem stoi nowe zapatrywanie się na pierwotne urządzenia społeczne ludzkości, między któremi znowu pierwsze miejsce zajmuje: *macierzyństwo*. Sądzę, że może najlepiej będzie tą nazwą ochrzcić prastarą instytucyę spo-

*) O ile dobra wola jednostek lub stowarzyszeń wystarczy do podjęcia tego zadania w Cesarstwie, o tyle u nas same te czynniki nie osiągną upragnionego rezultatu. Odmienne warunki muszą wpływać na wartość i owocność takich zakładów. W Cesarstwie idzie tylko o energię i kapitały, u nas do podobnych przedsięwzięć potrzeba jeszcze czegoś więcej. I dlatego sądzimy, że przed tym brakiem dobra wola ustawicznie cofać się będzie. *Red.*

---

czas na niego, nagły, silny, purpurowy rumieniec zalewał blade jej czoło, policzki, sine wargi i przejrzyste, kredowe uszy.

Rozmowa szła dość ciężko. Wanda usiłowała ją nawiązywać o ile możności, kiedy jednak chciała wpleść świeży temat, myśli uciekały, gniotąc całym ciężarem tył czaszki.

Zostawili już las po za sobą i zeszli na dół w miejsce, gdzie ścieżka, skręcając na pole, poszerzyła się znacznie.

Przewidująca administracya kuracyjnej miejscowości postawiła tam wygodną ławkę z oparciem. Wanda nie omieszkała z tego skorzystać. Usiadłszy, podniosła głowę cokolwiek w górę; wiatr odsłonił koronki, jakiemi była okryta; towarzysz podróży mógł zatem patrzeć swobodnie na wygięcia szyi swej chwilowej pupilki i liczyć słabe ruchy, jakimi falował jej oddech. Może i czynił to, lecz w końcu, znudzony milczeniem, zmarszczył brwi i zawołał zawsze jeszcze łamanym dyalektem wiedeńskim:

— Że się też z panią nie mogę porządnie rozmówić! Czy pani nie umie po włosku?

Te ostatnie wyrazy wypowiedział miękkiem, południowem narzeczem, w którem zmienił się zupełnie dźwięk jego głosu.

Na twarz Wandy wystąpiły znowu żywe rumieńce; źrenice jej rozwarły się znacznie. W tej chwili wyglądała, jak zdrowe wiejskie dziewczę, cierpiące raczej na zbytek krwi, aniżeli na jej niedostatek.

Nagły błysk myśli podsunął jej jeden z sonetów Petrarki, który zadeklamowała głośno.

Młody wojskowy z żywością, właściwą temperamentom południowców, przyskoczył do niej i ucałował obie jej ręce, a potem, uszczęśliwiony, giestykując, zaczął opowiadać o pobycie swoim w G., o celu, jaki go tu sprowadził, o konieczności, która go wiąże służbą i mundurem z austryackim narodem i cesarzem Józefem. Wanda słuchała go uważnie; ustąpił ból z głowy: nie czuła go przynajmniej. Stopy jej nabrały lekkości: schodząc, już teraz nie potrzebowała pomocy. Ożywienie wzmocniło jej oddech.

Od dziecka lubiła włoski język. Miała ciotkę, starą pannę, którą losy dłuższy czas trzymały na półwyspie, pośród czarnookich synów Wenecyi. Wróciła do kraju z mnóstwem ludowych włoskich piosenek, które zaczęła śpiewać małej Wandzi, odkąd ją po raz pierwszy złożono w błękitnej kołysce, pod zwojami błękitnych firanek. To też pierwszemi słowami dwunastomiesięcznego dziecka było powtórzenie paru zdań jednej ze śpiewek, które najczęściej słyszała. Wzrastając, z dziwnym uporem domagała się nauki języka włoskiego. Ciotka tym językiem opowiadała jej całemi godzinami o cudach, jakie widziała w krainie pomarańcz i mirtu. Mała Wandzia wsłuchiwała się w dźwięczne, potoczyste brzmienia. Gdy zostawała sama, powtarzała sobie nieraz aż do znudzenia jeden i ten sam wyraz; zasypiała, szepcząc cicho luźne zdania.

Rodzice po części lękali się tego tak wyraźnego upodobania, po części byli dumni, upatrując w niem niezwyczajność.

Stara ciotka umarła, zapisawszy siostrzenicy w spuściźnie cały stos poezyi i poematów włoskich. Do szesnastego roku Wanda przeczytała je wszystkie.

Umiała na pamięć większą część sonetów Petrarki i mnóstwo wyjątków z *Boskiej komedyi*.

W szesnastym roku zaczęło się w organizmie jej, z natury wątłym, rozwijać nadzwyczajnie szybko powszechne cierpienie młodych dziewcząt — niedokrwistość.

łeczną, którą pierwszy odkrył Bachofen i nazwał ją „das Mutterrecht" (prawo matki). Badania tego genialnego uczonego udowodniły bowiem, że w pierwotnych czasach ludzkości *ojcowstwo*, jako instytucya społeczna i prawna, było zupełnie nieznanem, matki zaś, jako głowy rodzin, posiadały wszystkie te prawa, które później — *przywłaszczyli* sobie ojcowie. Powiadam „przywłaszczyli," bo ostatecznie trudno rozstrzygnąć, po stronie którego poglądu jest większa racya — czy po stronie *macierzyństwa*, czy *ojcowstwa*. Kto ma posiadać większe prawo nad dziećmi, kto ma stanowić węzeł rodzinny, kto ma być osią, koło której grupuje się rodzeństwo — matka, czy ojciec? Tej kwestyi nie rozstrzygnęła żadna racya naturalna, ani żaden argument prawny—był czas, kiedy panowało w obyczaju i zwyczaju macierzyństwo — dziś panuje ojcowstwo.

Są to *fakty*, które przez wiekowe istnienie stworzyły zapatrywania etyczne.

Tyle dzisiaj jest pewnem, że—jak powiada Bachofen—„urządzenia prawa rodzinnego czasów historycznych starożytności nie są pierwotnemi, ale tylko następstwami i skutkami poprzedzających je form życia społecznego. Same przez się rozważane, przedstawiają one się tylko jako rzeczywistość niewytłomaczona, jako odosobnione fakty, które mogą być tylko przedmiotem wiedzy, ale nie mogą być zrozumiane i pojęte. Rzymski system ojcowstwa właśnie przez nieubłaganą grozę swego panowania każe przypuszczać jakiś dawniejszy, przezeń zwalczony i obalony." Tym dawniejszym systemem jest ginajkokracya, czyli macierzyństwo. Nigdyby nie udało się Bachofenowi udowodnić tak ważnego faktu, gdyby nie stał na stanowisku przedmiotowo-przyrodniczem, z którego zjawiska społeczne uważane są nie jako objawy indywidualnego życia tego lub owego szczepu albo ludu, ale jako konieczne objawy powszechnej natury ludzkiej, jako charakterystyczne rysy historyi naturalnej ludzkości.

„Tylko przez najdalsze rozszerzenie widnokręgu — powiada Bachofen — można osiągnąć prawdziwe zrozumienie (zjawisk społecznych) i myśl umiejętna osiągnąć zdoła ową jasność i skończoność, które stanowią istotę poznania." „Macierzyństwo nie jest właściwością jednego ludu, ale cechą pewnego stopnia rozwoju życia społecznego, a wskutek tożsamości natury ludzkiej nie jest ono ani uwarunkowane, ani ograniczone żadnemi pokrewieństwami narodowemi." „Jest ono cząstką kultury poprzedzającej system ojcowstwa; zanim to ostatnie się rozmielmożniło, macierzyństwo było w pełnym rozkwicie; zwycięstwo systemu ojcowstwa zadało mu cios śmiertelny."

Bachofen ograniczył się głównie na wykazaniu śladów macierzyństwa u ludów przedhelleńskich, o których nam pisarze greccy i rzymscy zachowali skąpe wiadomości.

Inni badacze, jak Giraud-Teulon, M'Lennan, Lubbock a nawet sam Bachofen w późniejszych pismach dostarczyli dalszego materyału, dowodzącego powszechności macierzyństwa u wszystkich ludów starożytnych, jakoteż i dzisiejszych, pozostających jeszcze na pierwotnym szczeblu kultury. Nikomu jednak nie przyszło na myśl, że owa, bądź co bądź do naszych zapatrywań moralnych wcale nieprzypadająca instytucya macierzyństwa (pociągająca za sobą zupełną *nieznajomość* ojcowstwa) panowała niegdyś także u ludów środkowej Europy, a zwłaszcza u germanów. A jakkolwiek dla badaczów, nieulegających zapatrywaniom etnocentrycznym, rzecz nie mogła być wątpliwą, że germanie musieli przejść te same stopnie rozwoju społecznego, co i wszystkie inne ludy, to jednak uczeni niemieccy woleli zawsze pierwotny ich stan przedstawiać w poetyczno, bohaterskiem świetle Tacytowskiego opisu. Nie zapuszczając się po za ten piękny opis zwyczajów germańskich, oszczędzili sobie niejednej przykrej prawdy co do dawniejszej przeszłości swych przodków.

Tym sposobem wszakże w badaniach nad przeszłością ludów germańskich została luka: bo rzeczywiście i one *musiały* raz znajdować się na pierwotniejszym stanie uspołecznienia i przed wykształceniem ojcowstwa *musiało* i u nich panować macierzyństwo. Lukę tę w badaniu wypełnił i dowody istnienia macierzyństwa także u ludów germańskich odszukał młody a dzielny pracownik na polu porównawczego prawoznawstwa Lotaryusz Dargun, docent uniwersytetu krakowskiego w dziele *Mutterrecht und Raubehe* *). Udało mu się wykazać w niektórych instytucyach późniejszego prawa niemieckiego, szczególnie w tak zwanych „leges barbarorum" resztki prastarego systemu macierzyństwa. Doszedł on do rezultatu, do którego etnocentryczne stanowisko uczonym niemieckim dojść nie pozwoliło, a sumując wyniki swych poszukiwań słusznie powiada: „Jeżeli zdołałem wykazać u szczepów germańskich resztki macierzyństwa, tem samem jest udowodnionem, że i owe ludy przebyły *normalny* i taki sam rozwój, jak największa część ras ludzkich. Historya ludów germańskich stanowi wtedy ważny materyał do budowy coraz to wyżej wznoszącego się gmachu porównawczego prawoznawstwa. I ono też przyczyni się do odkrycia i ugruntowania *praw życia narodów*, które co do stałości *nie różnią się wcale od praw świata fizycznego*."

Miło nam skonstatować, że p. Dargun na dobrej znajduje się drodze; wie, czego szuka, a ponieważ nie szuka mrzonek, tylko prawdy, więc nie wątpimy, że ją znajdzie i że literaturę naukową wzbogaci niejednym cennym plonem.

L. Gumplowicz.

*) Wrocław 1883 w zbiorze: *Untersuchungen zur deutschen Staats- und Rechtsgeschichte.*

MEDYTACYE ZIEMIAŃSKIE.

(Odpowiedź).

W poprzednim numerze *Prawdy* pomieściliśmy list obywatela ziemskiego, zarzucający prasie postępowej niesprawiedliwość w ocenianiu działań i ludzi jego sfery. P. Pielesz rozumuje tak: jeżeli ustrój społeczeństwa jest kapitalistycznym, wszystkie żyjące i czynne w nim jednostki winny być oceniane jego miarami moralnemi; tymczasem sędziowie ziemiaństwa wyrokują o niem według norm organizacyi przez nich pożądanej, ale urojonej, nieistniejącej, karcą nie złych, ale wszystkich, bo wszyscy są źli, dlatego że są. Zarzut byłby całkiem słuszny, gdyby był uzasadniony. Jeżeli układ stosunków społecznych opiera się na kapitalizmie, etyka może być tylko kapitalistyczną, tem więcej, że taką stosują nawet ci, którzy go obalić pragną doszczętnie. Weźmy najradykalniejszego socyalistę: mimo całej swej nienawiści dla wyzysku i czci dla pracy, będzie on ciągle przy zadawalaniu swych potrzeb wyzyskiwał cudzą pracę, czy to najmując stróża do usługi za trzy ruble miesięcznie, czy to jadąc dorożką za 50 groszy. Ściśle biorąc, oba te wypadki są pogwałceniem zasad socyalistycznych. Jeżeli zaś ich wyznawca broni się wymówką, że w obecnych stosunkach inaczej postępować nie może, to takiż sam argument służy obywatelowi ziemskiemu. Oceniając zatem moralną wartość ludzi, trzeba zawsze uwzględniać konieczne warunki ich działania. Zabójca niezawsze jest zbrodniarzem, ale może także być żołnierzem, obrońcą

Po zapisaniu jej całego szeregu odmian żelaza, po wypróbowaniu wszelkich środków, działających odżywczo i pokrzepiająco, lekarze postanowili wysłać ją do G. dla przeprowadzenia hydropatycznej kuracyi. Na parę miesięcy przed wyjazdem umarł ojciec jej, którego kochała całą siłą przywiązania, na jakie mogły zdobyć się nerwy jej serca, niestarganego życiowemi burzami.

Przyjechawszy do G., pod opieką matki i dalekiego krewnego, pana Piotra, starego kawalera, cierpiącego stale na reumatyzm, podagrę i astmę, nie była zdolną do oddawania się jakiemukolwiek upodobaniu. Świat rysował się przed oczyma jej w szarych, jednolitych barwach; nigdzie, aż po sam widnokrąg, nie widziała jaśniejszego punktu. Myśli jej snuły się leniwie, ciężko. Całą istotę ogarnęła zupełna bierność; dnie mijały bez wrażeń, a nic było w organizmie jednego nerwu, któryby ich pożądał.

Bezczynnie spędzała godzinę za godziną. Jeżeli wzięła książkę w rękę, to dlatego, aby ją po chwili opuścić na kolana i widzieć tylko martwe litery. Czasami jedno luźne słowo wpadło w oko i, tracąc wszy o organiczną pracę myślenia, stanęło bladem, bezbarwnem pojęciem, z którego wysuwał się szereg dalszych, porozbijanych, nikłych, jak płaty topniejącego śniegu. Dla zwyczaju, bo nie z poczucia konieczności, wypełniała kuracyę, jaką jej przypisał mały, pękaty doktór w G.: to ją pochłaniało. O włoskim języku zapomniała zupełnie. Kilka wyrazów, wymówionych przez świeżo poznanego austryackiego wojskowego, zelektryzowało ją.

Towarzysz był niewyczerpany w opowiadaniu. Prawił ładnie, potoczyście, łącząc barwność i plastykę wyrażeń z pewną pieczą myśli. Wanda wróciła do domu z rumieńcami na twarzy i z błyszczącemi, powiększonemi źrenicami.

Matka i pan Piotr wyszli na przeciwko zaniepokojeni długą jej nieobecnością.

Nastąpiło wyjaśnienie. Nieznajomy przedstawił się jako Bruno T. z Tryestu, będący od lat kilku w wojsku austryackiem. Opiekunowie z wynurzeniem wdzięczności przyjęli zaofiarowaną dziewczynie pomoc.

— Jak długo zabawi pan w G.? — spytała ona sama, kładąc na wyciągniętej dłoni włocha bladą swoją i szczupłą rączkę.

— Urlop mam nieskończenie długi... — odrzekł — a czas wolny... Gdybym mógł zrzucić ziemską swą postać i stać się cieniem bodaj dantejskiego pokutnika z nad Acheronu, nie omieszkałbym towarzyszyć zawsze i wszędzie błądzącym samotnicom. Każde wprowadzenie ich na właściwą ścieżkę byłoby mi zmazaniem jednego z siedmiu ponurych P. na grzesznem czole, aż w końcu miałbym prawo stanąć u wrót raju...

Matka i pan Piotr nie znali włoskiego, nie zrozumieli więc potoku słów, które, chociaż ujęte w formę ogólnikowej grzeczności, obudziły w sercu Wandy cichy szmer, jak gdyby rój wiosennych owadów połechtał tęczowemi skrzydełkami każdą najdrobniejszą jego żyłkę. Gdy spojrzała w górę, dostrzegła na tle zamglonej kopuły firmamentu wychylającą się zza bladych obłoków srebrną tarczę słoneczną. Jasny punkt odbił się zdwojonym blaskiem w myślach, które dotąd widziały wszędzie szare i bezbrzeżnie jednostajne przestrzenie.

Tego dnia, dla uświetnienia dorocznej uroczystości, ustanowionej na pamiątkę otwarcia zakładu kąpielowego w G., urządzono tańce dla zdrowszych chorych.

Na szczycie jednej z dosyć wysokich gór postawiony był szwajcarski domek, mający służyć za restauracyę, lecz jeszcze nie używany dotąd w tym celu z przyczyny trudności, jakie przedstawiało przeprowadzenie rur wodociągowych na znaczną wynio-

swego lub cudzego honoru, mienia, życia itd.

Jeżeli ustrój kapitalistyczny jest właśnie dotąd systematem owych warunków koniecznych, bo istniejących i niezwalczonych, a opiera się na wyzysku, to jedynym ekonomicznym probierzem moralności czynów może być tylko stopień samolubstwa. Pięć rubli od pożyczonej setki na rok nazywamy procentem *prawnym*, pięć rubli od sta na miesiąc — *lichwiarskim*. Pierwszy jest zarobkiem *uczciwym*, drugi *występnym*. Dlaczego? W zasadzie oba są jednako usprawiedliwione, a raczej oba nie są. Czy mam komuś płacić procent prawny, czy lichwiarski, to jest tylko kwestya chciwości wierzyciela i potrzeby dłużnika, ale nie ma żadnej racyi, którąby procentom wogóle dawała podstawę etyczną. Próżniak i łotr odziedziczył po ojcu dobrze napchaną kasę, a pracowity biedak niema na lekarstwo dla chorego dziecka; czyż w tym stosunku kryje się obowiązek, ażeby ostatni, zaciągnąwszy u drugiego pożyczkę, nawet najtańszą, za nią go wynagrodził? A przecież niski procent nazywany uczciwym, a wysoki — nieuczciwym. Moralność więc zależy tu wyłącznie od stopy ujawnionego egoizmu, opiera się ona na tej różnicy, która wzięcia komuś szpilki nie mianuje kradzieżą, a zabranie puda szpilek — mianuje.

Przejdźmy z tą miarą na pole stosunków wiejskich. Gdybyśmy — jak przypuszcza p. Pielesz — potępiali każdego posiadacza rozległych obszarów ziemi za to samo, że je posiada, popełnilibyśmy ze stanowiska etyki kapitalistycznej (ataką tylko przyjąć musimy) rzeczywistą niesprawiedliwość. Tem niemniej wolno nam własność drobną i średnią uważać za ekonomicznie korzystniejszą a moralnie słuszniejszą od wielkiej — z tego samego powodu, z którego procent prawny przenosimy nad lichwiarski. (W tem miejscu zauważyć należy, że sympatya dla pewnego procesu społecznego nie jest zamachem na niczyje prawa; jeżeli np. rozłamywanie się wielkich majątków nas cieszy, to jeszcze nie znaczy, ażebyśmy wyklinali tych, do których one należą). Nie ulega zaś wątpieniu, że wyzyskiwanie pracy rośnie w stosunku prostym do wysokości kapitału, że więc ono jest mniejsze w gospodarstwie chłopskiem, niż wielkopańskiem. Skutkiem tego ekonomicznie i moralnie tem wyżej cenimy stosunki ziemiańskie, im mniej one nasycają egoizm jednej strony kosztem drugiej, czy owo nasycenie odbywa się samą naturą rzeczy, czy też za pomocą szeregu działań samolubnych. Wyobraźmy sobie dwu obywateli: pierwszy posiada 150 włók ziemi, jest człowiekiem zimnym, obojętnym, nikogo skrzywdzić nie pragnie, ale też niczego nie ustąpi i swoim interesom uszczerbku zrobić nie pozwoli; drugi ma tylko 10 włók, ale oszukuje robotników, mści w dwójnasób każdą stratę, zakłada na nieświadomych pieniackie sieci itd. Obaj wyzyskują pracę, ale pierwszy samem swem stanowiskiem, siłą kapitału, drugi nadto chciwością. Oba te typy są ujemne, chociaż pierwszy szczyci się tytułem rzetelnego. A weźmy okaz trzeci: więcej lub mniej zamożny roztacza na około siebie wpływ dobroczynny, pomaga biednym, oświeca ciemnych, dzieli się z niższymi swą wiedzą i środki, o ile one mu od potrzeb własnych zbywają — to typ dodatni, chociaż także wyzyskuje cudzą pracę, i zasługujący na szacunek. On w ustroju kapitalistycznym jest kapitalistą, ale zacnym. W danych, rzeczywistych warunkach wznosi się do cnót, które w nich są możliwe.

Tu nas spotyka najbliższe pytanie: do której kategoryi należą nasi obywatele ziemscy? Są to zimni egoiści, nienasyceni chciwcy, czy też poczciwi dobroczyńcy? Dokładna klasyfikacya przy ścieśnionem polu ich działania jest trudną. Jak tu bowiem określić znamienne rysy pewnej warstwy społecznej, która wszystkie swe siły przeważnie zużywać musi w kłótniach z chłopami o służebności, w uprawie roli, polowaniu, jarmarkach i zabawach? Ale warunki u nas, chociaż nie głęboko, zmieniają się szybko. Bywa pora, gdy najenergiczniejszy obywatel ziemski całą swą działalność ograniczyć musi do tytułowania chłopa „sąsiadem,“ bywa inna, w której może temuż chłopu wstawić do ciemnej głowy latarkę. Zresztą, biorąc przeciętnie, jakkolwiek zakres dla ujawnienia się altruizmu jest ciasnym, pewne mu pole zostawia. Czy je wypełnia nasz „szlachcic?“ Rzadko. Albo to wielki pan, który z dumą spogląda na bydło w siermięgach, albo samolubny spekulant. Pierwszy miłość swą dzieli między stajnię, balet, klub karciany i wody zagraniczne, drugi ssie ziemię i zaciętrzewiony w pogoni za rublem, nic więcej koło siebie nie widzi. Na pierwszego i drugiego powien wpływ krzyki gazet i wydawnictwa dla ludu wywarły, ale co najwyżej pobudziły go do filantropijnej zabawki lub chwilowych, sztucznych wzruszeń. Zwłaszcza wyższa warstwa jest bezpłodną lub rodzi kąkole. Patrząc na nią, ani byś przypuścił, że w kraju nędza i niedola; takie poniewieranie wszystkiem, co pracuje niżej, taka wzgarda lub duma i gorsze od nich przeniewierstwo społeczne. Upodobania, język, zwyczaje, ideały i bogi — wszystko kupione na międzynarodowym targu i wyosobione z życia ogółu. Tym zawsze dobrze, dopóki wierzyciele, jak krety, obdłużonej ziemi nie zryją.

Pozostaje najwięcej wart a najmniej liczny typ trzeci: posiadacze średnich i większych majątków, którzy szczerze pragną wnieść światło i zamożność między lud i albo pogrążają się w rozmyślaniach nad swą niemocą, albo idą do celu spętani. Są to kapitaliści, bo innych ludzi dotąd niema, ale kapitaliści uczciwi, nieodwracający oczu od dobra ogółu i najbliższego swego otoczenia. Znajdziesz między nimi rzeczywistych bohaterów, znajdziesz w ich trudach świdry wiercące granit, który je szczerbi, ciche ofiary, których nikt nie wynagradza, walki, których nikt nie sławi. Ale jakże ich niewielu!

Czyż wobec tych objaśnień p. Pielesz twierdzić może, że prasie postępowej „idzie nie o wytępienie złych osobników, ale całego gatunku,“ że według niej „posiadać 30 włók ziemi, podczas gdy inni naokoło mają po 20 morgów, jest występkiem bardzo szpetnym, zasługującym na publiczną chłostę?“ Chyba nie. Obywatel ziemski jest, a nasz coraz bardziej staje się kapitalistą; ale gdy cały ustrój społeczeństwa jest kapitalistycznym, gdy więc miarą z jego norm zdjętą musimy oceniać ludzi, to już nam w tym i w każdym innym wypadku idzie tylko o stopnie samolubstwa i wyzysku. Najniższe są chwalebne, najwyższe—potępienia godne, bez względu na to, czy występują w sferze ziemiańskiej, czy kupieckiej lub przemysłowej.

A nakoniec jeszcze jedna uwaga, usprawiedliwiająca nasz pesymizm. Powiedzieliśmy przed kilku tygodniami: „Potrzebujemy do walki o byt ludzi innych, niż zwykły bieg rzeczy daje, ludzi poniekąd wyjątkowych. Kto rozejrzy się uważnie w warunkach naszego życia, ten przyznać musi, że zwykłem natężeniem sił, zastępem jednostek średnich, sumą poświęceń łatwych—nie dokonamy niczego. Każdy musi na swe barki włożyć ciężar większy, niż osobniki innych społeczeństw, musi dźwignąć tyle, ile tylko zdoła. W chwilach, w których wszyscy obowiązani są do ofiar, najuczciwszy egoista lub próżniak staje się gatunkiem złym. Nasi obywatele ziemscy, mieszczanie, chłopi, żydzi robiliby dosyć, gdyby znajdowali się gdzieindziej, w tym kraju robią nieraz za mało. Podobno, jak opowiada anegdota, jakiś mąż, straciwszy żonę w podróży morskiej, przykładał swe półroczne dziecko póty do własnych piersi, aż ono je odciągnęło i mleko z nich wysysać zaczęło.

---

słość. Domek więc stał opustoszały i tylko, jeżeli ktoś chciał rozejrzeć się w okolicach, wchodził na galeryjki z zewnątrz, skąd dokoła roztaczały się szerokie, odkryte widoki.

W dnie uroczyste otwierano puste pokoje, sprowadzano muzykę i rozpoczynano ożywione pląsy.

Wanda wraz z matką, będąc w żałobie, nie chciały przyjmować udziału w zabawie; namówiono je jednak, aby poszły przyjrzeć się rozochoconym chorym i posłuchać muzyki.

Po chmurnym, mglistym ranku nastąpił zmierzch dziwnie pogodny.

Wanda stała na jednej z galeryjek, wsparta o krawędź. Matka jej wraz z resztą dosyć licznego towarzystwa siedziała w głębi. Pan Piotr, niski, szpakowaty człowieczek z pooraną i zmarszczkami pokrytą twarzą kręcił się ciągle koło „drogiej kuzyneczki,“ częstując ją na przemiany to cukierkami miejscowego nędznego wyrobu, to pomarańczami. Wanda nic nie przyjmowała i z widoczną niechęcią odpowiadała na troskliwe zapytania pana Piotra; w końcu, odwróciwszy się zupełnie od niego, zaczęła patrzeć w inną stronę.

Nogi jej drżały lekko, pomimo to nie chciała usiąść. Zdawało jej się, że, stojąc, więcej powietrza będzie mogła zaczerpnąć dla piersi, które, jak u suchotnicy, cisnął kłujący, przygłuszony ból.

Słońce zachodziło, rysując purpurowemi smugami skraje rozpogodzonego widnokręgu.

W ciężkich opieszałych myślach Wandy zaczęły się snuć wspomnienia.

Pod powiekami jej jakby ktoś przesunął odbicie błękitnych firanek, w które, będąc dzieckiem, wlepiała oczy na całe, długie godziny. Z kolei wypływały przed jej pamięć najdrobniejsze i, jak sądziła zawsze, niecięte chwile życia, spędzonego wśród pieszczot i wygody.

Luźne wydarzenia błyskały, jak blade fosforyczne ogniki, niknące, to znów wyskakujące w odmęcie pustej, czarnej przestrzeni.

Na ostatniem i jedynem, jakie nią wstrząsnęło, zatrzymał się dłużej ruch wirujących w koło pojęć. Uczuła woń trupa tak świeżo, jak gdyby ją w tej chwili odeń oderwano. Straszny, chmurny, jesienny ranek roztoczył skrzydła nad jej wyobraźnią. Widziała wyraźnie żółty płomień zapalonej gromnicy, słyszała zabójcze echo odmawianych nad konającym pacierzy; czuła w piersiach fale zimnego, mokrego powietrza, jakie wpłynęły do pokoju zmarłego, gdy w nim złowróżbnie otworzono okna.

Patrzyła na drżące pod chłodną, wilgotną rosą liście kasztana, gdy ją wyprowadzono z sypialni, w której wyziewy gorączki i woń eteru dusiły gardło.

Powierzchnię jej krtani ścisnął lekki kurcz — przypomnienia. W oczach kołysały się liście kasztana, których najlżejsze wygięcie mogła była teraz jeszcze narysować z drobiazgową dokładnością.

Cichy żal rozpływał się w słabym pulsie jej serca i wzbierał uczuciem bezbrzeżnej tęsknoty.

Nogi jej słabły. Omdlewała całą swoją istotą. Usiadła na krzesełku, podsuniętem przez nadskakującego kuzyna, i patrzyła dalej na zachodzące słońce, na obszerną, ginącą w szarawej mgle bliskiego zmroku płaszczyznę Górnego Szlązka, roztaczającą się przed jej wzrokiem, i wreszcie na ciche, smutne świerki u stóp swoich, zróżowione blaskiem ostatnich gasnących promieni.

Muzyka grała skoczne, wesołe walce; dokoła — wśród przyrody — był poważny, uroczysty spokój.

Chociażby skutek był mniej pomyślny, jest to przykład dla nas.“

Oto jest formuła postępowania dla wszystkich. Jeżeli będziemy ludźmi zwykłej miary, zwykłych sił, poświęceń i cnót, nie zwyciężymy w walce o byt. Daremne złudzenia!

INTELIGENCYA ZWIERZĄT.

Z chwilą, gdy psychologia zerwała z metafizyką i zajęła względem niej stanowisko niezależne, jako umiejętność, opierająca się na faktach, musiała ona z konieczności rozszerzyć zakres swych dociekań i przybrać sobie do pomocy metody, które dotąd wyłącznie w naukach przyrodniczych używane były.

Pragnąc zbadać wszelkie objawy duchowe, wykryć warunki ich powstawania i prawa rozwoju, nie mogła ona dłużej poprzestawać na rozważaniu samych tylko najwyższych form umysłowości, jak one występują u ludzi, zajmujących wysokie stanowiska pod względem wykształcenia. Formy te bowiem, pomimo że dla obserwacyi wewnętrznej zdają się być całostkami niepodzielnemi, można rozłożyć na składowe pierwiastki i w porównaniu z niższemi, bardziej prostemi i mniej skomplikowanemi postaciami życia umysłowego, okazują się pochodnemi. Chcąc je przeto poznać dokładnie, potrzeba drogą psychologicznej analizy rozłożyć na składowe czynniki. Zadanie to atoli wtedy dopiero spełniamy, gdy zdołamy wybadać życie umysłowe na wszystkich szczeblach jego rozwoju, jak ono się przedstawia w szeregu wstępnym zwierząt i śród ludzi, stojących na różnych stopniach wykształcenia. Objawy bowiem umysłowe, bez względu na ich stopień, nie są czem innem, jak właściwem każdemu organizmowi oddziaływaniem na czynniki zewnętrzne, a zatem co do swej istoty te same we wszystkich ustrojach. Dlatego też psychologia dzisiejsza, przestawszy być wyłącznie ludzką, stała się ogólną, ogarnęła objawy umysłowości powszechnej. Opiera się ona w swych wywodach na faktach, jakich jej dostarczają zjawiska duchowe człowieka dojrzałego i dziecka, ludów oświeconych i pierwotnych, zarówno dzikich, jak i barbarzyńskich, a w końcu życie zwierząt, których czynności psychiczne różnią się od takichże ludzkich samym tylko stopniem rozwoju. To dało początek specyalnym badaniom—i dziś mamy już liczne dzieła, poświęcone wyłącznie psychologii etnograficznej, psychologii dziecka, psychologii wielkich ludzi, a nareszcie psychologii zwierząt!

Rzecz naturalna, że rozszerzając w ten sposób zakres swych badań, musiała psychologia odstąpić od dotychczasowej metody, czysto podmiotowej, polegającej na obserwacyi wewnętrznej. Przyznając tej metodzie właściwy zakres działania, gdyż ona jedna dostarcza nam punktu wyjścia dla dociekań, stara się ona połączyć je z metodą przedmiotową — z obserwacyą zewnętrzną i z doświadczeniem, gdzie ono da się zastosować.

Objawy umysłowe zwierząt od najdawniejszych czasów budziły ciekawość ludzi myślących, baczych na to, co się w koło nich dzieje. Najmniej zajmowali się nimi filozofowie, którzy, wierni zdaniu Sokratesa, że od drzew i zwierząt nie można się niczego nauczyć, usprawiedliwiali swą obojętność pod tym względem twierdzeniem, że między umysłem ludzkim a zwierzęcym nie ma nic wspólnego. To też wszelkie prace, jakie pod tym względem podejmowano dotąd, zawdzięczamy głównie przyrodnikom, podróżnikom, myśliwym, gospodarzom — wogóle zwykłym śmiertelnikom, którzy, wolni od uprzedzeń, obserwowali pilnie to, co zwracało na siebie ich uwagę. Stąd też materyał do psychologii zwierząt jest dość obfity. Na nieszczęście, obok spostrzeżeń dokładnych, dokonanych ze ścisłą znajomością rzeczy, znajdziemy w nim wiele takich, które, jeżeli nie są czystemi anegdotkami, to w każdym razie budzą pewne wątpliwości. Dlatego też cały ten materyał empiryczny, zanim będzie mógł być użytym za podstawę do indukcyjnych wywodów, musi wprzód uledz jak najściślejszej krytyce, któraby wykazała, co w nim jest prawdziwego i dokładnego, a co prostem zmyśleniem lub spostrzeżeniem niedokładnem. Od tego właśnie rozpoczął swą pracę nad umysłem zwierzęcym Romanes, sławny fizyolog angielski *),

Przebrakowanie danego materyału nie było rzeczą łatwą. Należało wprzód wynaleść zasadę, któraby dawała pewność, że wybór faktów jest trafny. Zobaczmyż, jakiej reguły trzymał się autor, przyjmując jedne, a odrzucając inne. Przedewszystkiem przyjmował tylko fakty, podane przez ludzi znanych, którym nie można odmówić zdolności bystrego, dokładnego obserwowania. Co do innych, zbieranych przez ludzi nieznanych, to starał się on wprzód rozważyć, czy okoliczności, śród których robiono obserwacye, przemawiają za ich trafnością, czy nie; czy spisane czynności zwierząt pod względem celu, w jakim były wykonane, nie nastręczają jakich wątpliwości i czy zawierają w sobie czego charakterystycznego. A dalej, czy też same fakty, a przynajmniej podobne do nich, nie znajdują się u kilku pisarzów, niezależnie podających swe spostrzeżenia.

Co do uporządkowania faktów, trzyma się autor układu zoologicznego wstępnego, zaczynając od pierwotniaków (*Protozoa*), a kończąc na małpach,

Jakkolwiek głównym jego zamiarem było przygotować sobie materyał do dzieła, które pod koniec roku przeszłego wydał pod tytułem: *Mental evolution in animals*; przez samo jednakże usystematyzowanie danych powstała książka, którą słusznie uważa za psychologię porównawczą zwierząt.

W przedmowie do swego dzieła stara się oznaczyć dokładnie, jakiej metody używał w swych poszukiwaniach. Rzecz jasna sama przez się, że możliwą tu była tylko metoda przedmiotowa. Bezpośrednio mamy jedynie zmiany własnego naszego umysłu; co się zaś dzieje w umysłach innych ludzi i zwierząt, możemy o tem wiedzieć zaledwie drogą pośrednią, przez zewnętrzną obserwacyę. Wszelkim zmianom naszego umysłu towarzyszą pewne czynności, które są ich wyrazem. Jeżeli takież same spostrzegamy w naszych bliźnich, mamy prawo wnosić na podstawie analogii, iż i w nich zachodzą te same zmiany, które w sobie spostrzegamy za pomocą obserwacyi wewnętrznej. Tak a nie inaczej musimy postępować względem zwierząt.

Jakież to są ich czynności, które nas upoważniają do wniosku, że posiadają one umysł tak samo, jak i ludzie? Cechą, dającą niezaprzeczalne świadectwo, że ich czynności są objawami umysłu, jest świadomy wybór w ruchach, za pomocą których organizm usiłuje przystosować się do warunków zewnętrznych. Nie wszystkie atoli działania zwierzęce posiadają ową cechę; są między niemi takie, które są przystosowywaniem się bezwiednem; inne znowu, którym lubo towarzyszy świadomość samego aktu, zbywa im jednakże na znajomości stosunku między celem, a użytym do niego środkiem. Te trzy rodzaje czynności należy ściśle odróżnić i ocenić znaczenie każdego.

Autor tak je określa:

„Czynność odruchowa, będąca nie umysłowem, ale czysto nerwowo-mięśniowem przystosowywaniem się, jest odziedziczonym mechanizmem nerwowego układu, któ-

*) *Animal Intelligence*, Londyn 1882.

W głębi jej duszy poruszyło się kilka taktów jednej z melodyi Chopina, gwarnej bólem, lecz nie tym, co rwie i szarpie, ale raczej zatacza aż do odurzenia.

Siedząc nieruchomie, przestała czuć w sobie odżywczą pracę krwi i nerwów. Zdawało jej się, że powoli, z oddechem, ulatuje z niej życie; w głowie coś szumiało: to urywek pijanego Scherza wcisnął się w każdy skręt ciążącego osłabieniem mózgu.

Nareszcie wszystko w niej przycichło; przez długą chwilę nie rozumiała własnych myśli; oczy jej przybrały matowy połysk; w źrenicach nie przełamał się ani jeden promyk, zdradzający świadomość. Z letargicznego odrętwienia ocknęło ją lekkie łaskotanie szyi. Drgnęła, jak za dotknięciem prądu elektrycznego. Pan Piotr, siedzący przy niej w pozie kontemplacyjnej, zrzucił liszkę, która po powierzchni sukni zapełzła aż po sam skraj konchy usznej.

Usłyszała nagle wewnątrz siebie, czy też koło swoich skroni szelest, jak gdyby ktoś szepnął kilka włoskich wyrazów.

Zaczerwieniła się; powierzchnię ciała przebiegł łagodny, przyjemny dreszcz; uśmiechnęła się sama do siebie.

Coś przetworzyło się w niej nagle; wspomnienia przeszłości opadły na najdalszą głębię duszy.

Uczuła, że umysł jej dokonał jednej fazy życiowej. Ten rodzaj myślowych skojarzeń, który zwią intuicyą, głosił nadejście drugiej.

Ze słabym, niepewnym szelestem podnosiły się pojęcia jedno po drugiem, pytając, co będzie?

Piersi drgały lekką wewnętrzną wibracyą, jak dyapazoniczna blaszka, w którą uderzono końcem stalowego młoteczka.

Była w chwili tego napięcia, które u zdrowych i silnych porusza krew żywszem tętnem, a u słabych, jak ona, budzi szereg marzeń mglistych, lotnych, snutych do nieskończoności na podobieństwo szarej pajęczej sięci.

Towarzysz rannej przechadzki stanął za nią, podszedłszy z cicha, i zapytał, co czyta w promieniach gasnącego słońca?

— Swoją wschodzącą przyszłość — odparła bez namysłu.

Łuna oblała jedną stronę jej twarzy, od której tem czyściej i delikatniej odbił się profil drugiej, jakby wyrzeźbionej z alabastru.

Włoch nachylił się do niej tak blisko, że oddechem dotknął wygięcia jej szyi i, wskazując na cichy, ciemny las świerkowy w dole, rzekł:

— Tam tak ładnie. Spacer dobry dla chorych. Okazałem się dobrym opiekunem w rannej przechadzce: czy nie mógłbym zostać nim i teraz?

W G. panowała wyjątkowa swoboda; krępowano się jak najmniej tem, co „wypada“ i co „nie wypada.“ Wanda więc za zgodą matki oraz całego orszaku starszych i młodszych głów niewieścich zeszła na dół w towarzystwie świeżego znajomego.

Pan Piotr, widząc to, zaczerwienił się: chciał podążyć za nimi, lecz dostawszy ataku krztuszenia, musiał pozostać w miejscu.

Z pochyłości góry sprowadzała wąska ścieżka, poszerzona u podnóża. Tam też dopiero zaczęli iść razem, to jest jedno koło drugiego, zagłębiając się w las świerkowy, gdzie nie spotykali nikogo, gdyż kto tylko żył, pośpieszył albo przyjąć udział w zabawie, albo przynajmniej popatrzeć na nią. (D. c. n.).

---

ry pod wpływem pewnych szczególnych i często powtarzających się bodźców nabył stałej skłonności do wytwarzania szczególnych ruchów, pozbawionych wprawdzie cechy zamiaru, ale niepozbawionych charakteru przystosowawczego.

„Instynkt jest czynnością odruchową, której towarzyszy świadomość. Oznacza on wszystkie te czynności umysłowe, jakie się odnoszą do działań świadomych i przystosowawczych, poprzedzających doświadczenie osobiste, w którym jednakże brak znajomości stosunku między użytym środkiem a osiągniętym celem. Wykonywają się one stale i w ten sam sposób pod wpływem tychże samych, często powtarzających się okoliczności przez wszystkie osobniki tego samego gatunku.

„Rozum oznacza zdolność wykonywania czynności z zamiarem przystosowania środka do celu. Rzecz naturalna, że takim czynnościom musi towarzyszyć znajomość stosunku, jaki zachodzi między dobranymi środkami, a zamierzonym celem. Przedewszystkiem zdolność ta okazuje się w przystosowywaniu do okoliczności nowych, zarówno dla doświadczenia osobniczego, jak i gatunkowego.“

Takie są wytyczne punkty, podług których Romanes ocenia i tłomaczy fakty, odnoszące się do życia umysłowego zwierząt. Wskazują one wyraźnie, że autor staje w nich na stanowisku teoryi rozwoju, jak ona została rozwinięta w dziełach Darwina i Spencera.

W szczegółowy rozbiór pracy p. Romanesa niepodobna tu wchodzić. Dość zaznaczyć, że jako psychologia porównawcza, przewyższa ona wszystkie znane dotąd próby tego rodzaju, jeżeli nie pod względem obfitości materyału, to w każdym razie pod względem krytycznego obrobienia. Takie bowiem dzieła, jak Lindsaya: *Mind in the lower animals* i Büchnera: *Geistesleben der Thiere*, pomimo niezaprzeczonej ich wartości, zawierają w sobie niemało zwykłych anegdotek, niewytrzymujących krytyki.

Jak ostrożnym jest autor w przyjmowaniu faktów i w przyznawaniu im naukowego znaczenia, można się przekonać z ustępu, w którym mówi o samobójstwie skorpionów. Powszechnem jest i oddawna panującem mniemanie, że skorpion, dręczony ogniem, skraca swe męczarnie w ten sposób, że zabija się przez zranienie sobie głowy haczykiem jadowitym, umieszczonym na końcu ogona. Robiono pod tym względem pewne doświadczenia, które zawsze do tego samego prowadziły wypadku. Wszystkie te doświadczenia, dokonywane przez ludzi fachowych, autor przytacza. Pomimo to zawiesza swój sąd do dalszego sprawdzenia o fakcie, który wydaje mu się, jeżeli nie nieprawdopodobnym, to w każdym razie dziwnym — o tyle przynajmniej, że zostaje w rażącej sprzeczności z naturą instynktu. „Gdyby bowiem fakt ten był prawdziwym—powiada R.—mielibyśmy w nim jedyny wypadek, w którym instynkt staje się zgubnym zarówno dla osobnika, jaki dla gatunku.“

Niechże to posłuży za przestrogę dla naszych dziennikarzów, którzy z taką skwapliwością podawali przed kilku miesiącami wiadomość o samobójstwie naprzód osła, który się utopił w Sekwanie, a następnie kota, który rzucił się z drugiego piętra na bruk i roztrzaskał sobie głowę.

Mówić o samobójstwie zwierząt, jako o fakcie pewnym, jest to wychodzić za daleko po za zakres dotychczasowych spostrzeżeń, a zarazem nie zdawać sobie sprawy z trudności, napotykanych w jego wytłomaczeniu. Przedewszystkiem chodziłoby tu o rozstrzygnięcie: czy samobójstwo zwierząt mamy uważać za objaw instynktu, czy rozumu? Otóż za instynkt brać go nie można, gdyż on w tym rodzaju nie mógłby się wytworzyć. Wiemy bowiem, że instynkt nie jest czem innem, jak odziedziczonem doświadczeniem przodków. Ależ doświadczenie, które jest zarazem śmiercią osobnika, nie może się przekazać drogą dziedziczności jego potomstwu. Samobójstwo więc zwierząt, będąc czysto indywidualnem, musiałoby być uważane za objaw rozumu. Jako taki, każe się ono domyślać tak skomplikowanej czynności umysłowej, że wątpić należy, żeby zwierzęta były do niej uzdolnione. Pamiętać zresztą potrzeba, że samobójstwo, jak ono się objawia śród ludzi, jest zjawiskiem czysto społecznem, spełniającem się śród stosunków społeczeństwa, zostającego na pewnym stopniu wykształcenia. Wiadomo, że ludom dzikim, których związki społeczne są zaledwie w zaczątku i których stan umysłowy jest niski, chociaż zawsze wyższy od stanu umysłowego zwierząt — ludom tym samobójstwo jest wcale nieznane. Staje się zaś częstszem i powszechniejszem w miarę, jak przechodzimy do społeczeństw coraz bardziej wykształconych.

Wracając do dzieła Romanesa, muszę tu podnieść pewien szczegół, dotyczący, że tak powiem, jego architektoniki. Jest nim nieodpowiednia zakresowi książki objętość rozdziałów, poświęconych mrówkom, pszczołom i osom. Na pięćset stronic całości, zajmują one sto sześćdziesiąt, tyle właśnie, ile ich autor przeznaczył dla wszystkich wogóle ssaków, których życie umysłowe, jako bardziej do naszego zbliżone, żywsze powinnoby w nas budzić zajęcie, zarówno dla względów teoretycznych, jak i praktycznych.

Nieproporcyonalność ta ma jednakże swą racyę. Jakkolwiek pod względem anatomicznym owady powyższe zajmują jedno z ostatnich miejsc w klasyfikacyi zwierząt, pod względem psychologicznym dostarczają one tyle ciekawych faktów, że oddawna stały się przedmiotem najgorliwszych badań. Dlatego też ich życie umysłowe znane nam jest dokładniej i gruntowniej, niż innych istot. Ponieważ autorowi chodziło głównie nie o to, żeby napisać ogólny zarys psychologii porównawczej, ale o to przedewszystkiem, ażeby obrobić krytycznie dany materyał, któryby mógł mu posłużyć za podstawę do jego dzieła *Mental evolution*, miał więc najzupełniejsze prawo interes naukowy kłaść na pierwszym planie i poświęcić dla niego względy estetyczne. Dokładne bowiem zbadanie umysłowych czynności jednego gatunku zwierząt daje nam klucz do rozwiązania bardzo wielu zagadnień psychologicznych.

Pod koniec ubiegłego roku ukazała się pierwsza część zapowiedzianego przez Romanesa dzieła pod tytułem: *Mental evolution in animals*. W swoim czasie postaram się zdać o niem sprawę jak najdokładniejszą.

Władysław Kozłowski.

LISTY PETERSBURSKIE.

20 marca.

Partye w Rosyi.—Poglądy dziennikarstwa i poglądy społeczeństwa.—Program p. Mendelejewa.—Rozprawa p. Arsenjewa.

Niedawno *Nowoje Wremia* ogłosiła szereg artykułów, zatytułowanych „Śród różnych prądów,“ których treścią było uwydatnienie kierunków społecznych w Rosyi. Autor wykazuje, o ile nazwy: „konserwatywny“ i „liberalny,“ zastosowane do społeczeństwa rosyjskiego, mają znaczenie odmienne od tego, jakie im zachodnio-europejska praktyka przypisuje. Jednakże obok tych zupełnie zresztą słusznych wywodów brakuje całej drugiej części, t. j. ściślejszego określenia, jak należy pojmować wszystkie te miana na gruncie rosyjskim. Co prawda, nie jest to łatwą rzeczą wogóle, przytem publicyści rosyjscy wnioskują o kierunkach społecznych na podstawie spostrzeżeń z dziedziny literatury i dziennikarstwa, nie badając, lub też niedostatecznie wyświetlając fakty rzeczywistego życia społecznego. Stąd to pochodzi, że walki i polemiki między organami przeciwnych obozów robią często wrażenie jakichś nadpowietrznych pojedynków lub osobistych wymyślań, a nie starcia między istniejącymi prądami myśli społecznej. Naprzykład bardzo małą wogóle uwagę zwraca prasa na kierunki, ujawniające się w postanowieniach głównego organu samorządu społecznego, t. j. „ziemstwa.“ Nie przeczę, że można znaleść bardzo wiele faktów, tyczących się przebiegu różnych, często bardzo nieciekawych spraw, wszędzie można spotkać nagany i wyrzekania na ospałość i lenistwo tych prowincyonalnych parlamentów, ale nikt sobie nie zadaje trudu, aby ten materyał zbadać i wydobyć szerszy prąd społeczny, ujawniający się nawet w skromnym zakresie interesów prowincyonalnych. Przeciwnie każdy z pp. publicystów narzuca innym swoje poglądy, każda poważniejsza gazeta pozuje na organ nie swego redaktora i kilku jego przyjaciół, ale partyi społecznej, a głos rzeczywisty społeczeństwa, o ile się on w legalnych i autonomicznych jego instytucyach objawia, bywa pomijanym. Jedna tylko partya literacka, t. z. „narodniki“ dobrze pojmują całą niewłaściwość tych samozwańczych w imieniu narodu i społeczeństwa wystąpień. Dotychczas jednak wolą w swoich pismach zabawiać się deklamacyami o „narodowej samobytności rosyjskiej,“ której przecież nikt nie zaprzecza, zamiast wziąść się do sumiennego zbadania i uogólnienia faktów przez publiczne życie społeczeństwa dostarczanych.

Nie twierdzę bynajmniej, iżby postanowienia organów rosyjskiego samorządu miały być doskonałym wyrazem społecznych dążeń, ale przecie można im więcej dowierzać, niż zapewnieniom *M. Wiedomostiej* i Sp., jeżeli chodzi o stwierdzenie istnienia takich a nie innych kierunków. Sposób wyborów do „ziemstwa“ jest nadzwyczaj wadliwy i według ogólnego zdania wymaga radykalnych zmian, które zapewne w niezbyt odległych czasach nastąpią. Tak np. ustawa wyróżnia właścicieli większych, włościan i mieszczan, ustanawia wybory nie w każdym cyrkule lub „wołosti“ oddzielnie, ale ogólne całej listy radnych w powiatowem mieście (swojego rodzaju *scrutin de liste*, bez dodatnich stron), nakoniec dozwala głosować przez zastępców. Dlatego to większość łączą głównie nie wspólne przekonania, ale pobudki czysto materyalnej natury. Mimo to przy tak nawet wadliwym ustroju można wyciągnąć z postanowień ziemstw, a nawet i zebrań szlacheckich sporo materyału społecznego. Na początku np. bieżącego roku jaki to hałas i polemikę podjęła prasa o nadchodzącej tak zwanej „szlacheckiej erze,“ o szczególnem położeniu i zadaniach szlachty, słowem można było przypuszczać o istnieniu jakiegoś energicznego społecznego prądu! Tymczasem wszystkie ziemstwa, a nawet i „zebrania szlacheckie“ odrzuciły propozycye dążące do wyróżnienia szlachty. Przeciwnie „ziemstwo“ gubernii moskiewskiej wydało kilka rozporządzeń zupełnie odmiennej natury (np. postanowiło dalej utrzymać instytucyę kredytową włościańską, utworzoną jeszcze przed założeniem banku włościańskiego). Podobnież się działo i w gub. petersburskiej, gdzie zasługuje na uwagę ten drobny fakt, że zbieraniu danych statystycznych okazywali opór nie ciemni chłopi, ale właśnie ta, specyalnie do samorządu uzdolniona klasa obywateli większych. Wobec tego zestawienia wywodów krzykliwej prasy i postanowień organów samorządu możemy wszelkie apostrofy w imieniu społeczeństwa rosyjskiego przez jego samozwańczych przewodników wygłaszane, przyjmować *cum grano salis.*

Rozbierać zaś wszystkie programy, przez różne dzienniki wygłaszane, zastanawiać się nad temi, często dziwacznemi hasłami, jakie prasa podaje, wykazywać brak konsekwencyi, brak znajomości stosunków — doprawdy nie warto. Byłoby to naprzód powtarzaniem dowodów przez tęż prasę dawniej wypowiedzianych, bo co jeden organ podaje jako pozytywne środki, drugi z łatwością obala, a potem byłoby to dysputą o abstrakcyjnych, wymarzonych sprawach, a nie o rzeczywistych potrzebach rosyjskiego społeczeństwa. Oto np., słynny chemik, profesor Mendelejew także stworzył naprędce receptę dla zbawienia Rosyi od jakichś zagadkowych nieszczęść. Z jednej strony — woła w „Gońcu Przemysłowym“ (*Wiestnik Promyszlennosti*) — grozi nam (rosyanom) los Rzymskiego Cesarstwa t. j. los obozowego życia, ustalonego nazawsze, z drugiej los Chin. A jak zaradzić złemu? Oto zakładając jak największą liczbę fabryk i rozszerzając produkcyę kapitalistyczną kosztem wszelkich sił narodowych i nieważając na najcięższe ofiary. Doprawdy dziwne czasem mają ludzie usposobienie do mieszania swoich osobistych korzyści z dobrem ogółu. Naprożno szkoła utalentowanych ekonomistów rosyjskich dowodzi, iż produkcya kapitalistyczna w Rosyi niema widoków szerokiego rozwoju, gdyż suma warunków społecznych jej nie sprzyja; naprożno statystyka wykazuje upadek produkcyi wielkiej, podtrzymywanej sztucznie, naprożno nakoniec zdrowa logika powiada, że dla wielkiej produkcyi przedewszystkiem potrzeba rynku, że rynek zewnętrzny dla Rosyi jest zamknięty a wewnętrzny ma zbyt słabą pokupną siłę, aby mógł, dopóki zamożność ludowa nie wzrośnie, zapewnić dostateczny zbyt dla fabryk. Sielanki zaś o wzroście zamożności ludowej wskutek produkcyi kapitalistycznej dawno już przebrzmiały. P. Mendelejew poraz setny wznosi zużyty łachman i powiewa nim zamiast programowego sztandaru. Przed laty dwudziestu rzeczywiście polityka ekonomiczna miała na celu przeszczepienie wielkiej produkcyi na grunt rosyjski, ale teraz i rząd wyrzekł się tej kosztownej zabawki, odmawiając wielu fabrykom zaliczek (np. mechaniczny zakład w Petersburgu). A tymczasem wiele dzienników i gazet podnosi tę czczą frazeologię, jako wskazania ekonomiczne, nie zważając na wyniki badań sumiennych badaczów. Słusznie powiada nieoceniony Szczedryn: „Żyjemy w czasach srogiego, chociaż bezcelowego strofowania samych siebie. Zawiłe, niewyjaśnione poglądy miotające nami wypowiadane bywają w jak najzawilszym i nienie wyrażającym wykrzykniku. Precz z marzeniami, precz z frazesami, dalej do realnego działania! Oto formuła. Jakie marzenia, jakie frazesy, co to za działanie, o tem nikt nie mówi? Słowem wszyscy skarżą się, iż frazes nas gubi, wszyscy domagają się zniweczenia „frazesów,“ a na to miejsce proponują także frazesy. A frazesy przy tem nie nowe, a zaśniedziałe, pleśnią pokryte, z tą jeszcze różnicą, iż w poprzednich było coś niejasnego, niezrozumiałego, ale przynajmniej czuć było w nich jakiś ludzki, szlachetniejszy popęd, a teraźniejsze po prostu gwałcą ludzką naturę. Żeby je wygłaszać, trzeba przestać być człowiekiem, dlatego to wraz z nimi tak często przypominają o egzystencyi cyrkułu*)“.

Rozprawa Arsenjewa, o konieczności wprowadzenia „separacyi,“ czytana naprzód w Towarzystwie prawniczem a następnie wydrukowana świeżo w *Wiestniku Jewropy*. Autor wykazuje, iż separacya właściwie w Rosyi istnieje, gdyż prawo przewiduje jej wypadki, zależy jednak od fantazyi urzędników, których postępowania żaden kodeks nie określa. Zamiast więc pozostawiać ją samowoli administracyjnej, trzeba by na wzór niektórych państw Zachodniej Europy powierzyć sądom określiwszy wprzód jasno powody. Istnienie zaś separacyi obok rozwodu jest pożądanem, gdyż umożliwia zgodę między zwaśnionemi stronami. Że zaś ułatwienie zarówno rozwodu, jak separacyi jest koniecznem, między innemi autor udowadnia cyframi wziętemi od Bertillon'a; mianowicie liczba kobiet stanowiła 17% (1877) i 16½% (1878) ogólnej liczby wszystkich zabójców; w tej liczbie kobiet, które się zabójstwa dopuściły, 55% przypada na zabójczynie mężów.

Towarzystwo prawnicze wnioski p. Arsenjewa jednogłośnie przyjęło.

W. Ż.

*) *Poszechońskie opowieści.*

LIBERUM VETO.

Czasy i obyczaje. — Ischia. — Walka z kanarkiem. — Zniszczenie róży. — Duch czasu. — Rozgrzebywanie mrowisk. — Zagadnienie matematyczne i formuła taszkientców. — Rozkoszne widoki. — Patryoci na licytacyi międzynarodowej. — Miłość za tanie pieniądze. — Niesnaski w łonie pierwszej wyprawy polskiej do Afryki. — Stary duch. — Idealiści śpiewający na nutę pozytywistów. — Nowy artykuły spożywcze. — Narada.

O tempora! o mores! Nieraz zdaje mi się, że widzę Ischię. Była sobie mała, skalista, uboga wysepka. Pewnego wieczoru, gdy jej mieszkańcy rozmyślali spokojnie o jutrzejszej pracy lub szczęściu, podziemny wulkan wstrząsnął nią, zwalił domy i pozabijał ludzi. Tu z rumowiska wygląda ręka lub noga, tam zdruzgotany wazon obrzucił skorupami zmiażdżonego muła, tam znowu na kolumnie zawisła kołyska, gdzieindziej z gruzów dobywa się jęk lub zakrwawione ciało. Pytasz niewidzialnego anioła śmierci, który przechadza się po owym strasznym cmentarzu, na co to zniszczenie, mordy i boleści? Tak sobie — odpowiada ci szumem wiatr dziki — wulkan chciał spróbować swej siły. W iluż ofiarach nie ma rozumniejszego celu!

I mnie przejmuje nieraz duch czasu. Dawniej gdy spojrzałem na kanarka, świergoczącego w klatce, słuchałem go. Dziś biorę sękaty kij w rękę i wołam: „ty żółty zbrodniarzu, hugonocie, czemu nie gwizdasz kozaczka? Tra ta ta ta, ra ta ta ta — słyszysz!“ Kanarek słyszy, ale milczy, albo ciszej wywodzi swoje trele. Stawiam go na blasze kuchennej, podpalam mocniej ogień, aż mój ptak, osłabiony żarom, pada na dno klatki. Wtedy wynoszę go w chłodniejsze powietrze i powtarzam: Tra ta ta ta... O nieba, z jakim gniewem załamuję ręce, widząc upor tej drobiny, którą bym przecież mógł zgnieść dwoma palcami! Daremne gniewy, ja: tra ta ta, a on: dzir, dzir, dzir...

Dawniej gdy spotkałem w ogrodzie różę, zachwycałem się jej kwiatem; dziś naprzód ścinam ją laską, później odchodzę kilka kroków i lubuję się widokiem posmutniałego krzaka, wreszcie, pomyślawszy, że on znowu może zakwitnąć, rzucam się na niego i wyrywam z korzeniem. No, nie drżyj z oburzenia, czytelniku, bo robię to tylko we śnie, gdy mną owładnie odbity w rojeniach z rzeczywistości—duch czasu. „A kto winien — jak nie ci, że ja miewam takie *sny*“ — ci z *Now. Wremieni*? Redakcya tego pisma, nie czekając wiosny, wysłała aż dwu swoich współpracowników, którzy się bardzo wesoło bawią. Chodzą oni po lesie i wyszukują mrowisk; znalazłszy je, rozgrzebują patykiem, i wielką im to sprawia przyjemność, gdy biedne mrówki wybiegną ze swych kryjówek i zaczną się roić na zburzonem gnieździe. Ucieszeni wędrowcy wołają do siebie:

— A to robaczki się kręcą!

— Fraszka — mówi drugi — one znowu zniosą igiełki i ułożą jak dawniej.

— A gdyby tak nalać witryolu!

— Boska myśl — a jeszcze lepiej zapalić na wierzchu ogień!

— I podsypać prochem — ha, ha, ha!

Obecnie ci panowie rozwiązują bardzo ważne zagadnienie matematyczne, mianowicie myślą nad tem: jakim sposobem pozbawić nas wymiaru trzeciego, niezbędnego dla wszystkich ciał bryłowatych, i ograniczyć do dwu, wystarczających powierzchni? Mnie samego bardzo ta zagadka interesuje, chociaż zdaje mi się, że pp. współpracownicy *N. Wremieni* nie wynajdą lepszej formuły od tej, którą wynaleźli *Taszkientcy* Szczedryna. Bo to duch czasu.

Duch ten, który mnie nabawia tak okropnych snów, dokuczałby nam bardzo, gdybyśmy jednocześnie nie używali najrozkoszniejszych a rzeczywistych widoków. Boże, gdy pomyślę, że Modrzejewska zbiera laury—w New-Yorku, Kochańska—w Londynie, Mierzwiński — w Wiedniu, a Manowska — w Warszawie, czuję się tak szczęśliwym, tak wynagrodzonym za wszystkie cierpienia, że pragnę stanąć w drodze do grobu i zawrócić do kolebki, ażeby narodzić się po raz drugi. Nędza na miejscu, bogactwo własne w wywozie — czegóż jeszcze można żądać więcej? „O moje ojczyste lasy!“ — woła wzruszony szlachcic i — sprzedaje drzewo niemcom. „Miło śpiewać obcym, ale najmilej swoim“ — pisze w *Ziarnie* Kochańska i odtąd nigdy nie śpiewa — swoim. Jestem polakiem — wywodzi w *Echu muzycznem* p. Mierzwiński i przejeżdżając przez Warszawę, nawet nie zajrzy do opery polskiej. Dobrze robi ten szanowny patryota; dosyć gdy przyśle swej ojczyźnie czuły liścik, najnowszą fotografię i wycinki z gazet zagranicznych — gardła dla niej za tanie pieniądze zdzierać nie będzie. 100,000 franków na sezon — a miłość w czynach się znajdzie. Za kilka tysięcy rubli rocznie — kochać trudno. Za taką cenę kochał kiedyś Dobrski, Troszel, Rivoli — safanduły. Dziecinny np. ten Dobrski! Gdyby był pojechał do Petersburga, gazety tamtejsze również spierałyby się o pochodzenie jego bielizny, jak p. Mierzwińskiego. Został jednak, i nie przysięgając w *Ziarnie*, śpiewał tylko swoim. Dziś inny duch czasu. To, co przed 20 jeszcze laty uważaliśmy za wynaturzenie się, obecnie nas zachwyca. Kto wie przeto, czy idąc w tym kierunku dalej, nie rozstrzygniemy praktycznie kwestyi—istnienia w dwu wymiarach. *O tempora! o mores!*

Według wszelkiego prawdopodobieństwa *„pierwsza“* wyprawa polska do Afryki będzie ostatnią i wcale nam się nie uda. Przedewszystkiem pomiędzy jej członkami wybuchły niesnaski, skutkiem których przy wodzu zostało tylko dwu żołnierzy. Następnie p. Rogoziński, wyruszywszy w głąb, musiał wrócić nazad, bo mu jedno z dzikich plemion wzbroniło przejścia. Tego rodzaju zawody są zwykłe i nieraz już udaremniły najśmielsze przedsięwzięcie; ale naszym własnym, swojskim wdziękiem jest owa kłótnia. Czy może być coś charakterystyczniejszego: przez rok blisko *pięciu* ludzi dobiera się, poznaje i przenika wzajemnie; przez drugi dzielą wspólnie los niebezpiecznej podróży; nareszcie, gdy już przybyli na miejsce, oddaleni o tysiące mil od kraju, śród dzikich plemion, w Afryce, zaczynają się kłócić i procesować! P. R. zabiera posyłkę, adresowaną do p. R., zastawia ją w niemieckiej faktoryi i nie pozwala wydać, dopóki p. R. nie zapłaci 30 funt. szt. W tej posyłce zaś znajdują się, prócz listów i gazet, narzędzia potrzebne do wyprawy. Wszystko to — przypominam — dzieje się śród *pięciu* ludzi, rodaków, przyjaciół wspólników. Czy w tej malcńkiej gromadce nie poznajecie starego ducha niezgody, który przez kilka wieków siedział za kołnierzem drobnego i grubego szlachcica? Dawny, do-

bry znajomy! Przyczepił się nawet do pięciu ludzi, pojechał z nimi nawet do Afryki! Wobec tego, czy można brać za złe, że jakieś dzikie plemię objawiło wrogie zamiary względem wyprawy, jeśli sami jej członkowie się pokłócili? Nadto, czy nie mam dziś podwójnej racyi, że głosowałem przeciwko udzieleniu tej wyprawie 20,000 rs. z ubogich funduszów publicznych? Kto wie, czy nie byłem jedynym dobrym prorokiem. Społeczeństwo musiałoby zapisać znaczną sumę na *Verlust-conto;* odmówiwszy zapomogi, patrzy ono z przykrością na daremne wysiłki i kłótnie pięciorga swych odważnych dzieci, ale przynajmniej materyalnych kosztów tego widowiska nie płaci.

I w drugiej sprawie pozwalam sobie upomnieć się o moją zakrzyczaną słuszność. Gdy przed paru laty poświęciłem kilka uwag komedyi, zwanej kwestą wielkanocną w kościołach, zdaje mi się, że *Przegląd katolicki* skazał mnie na banicyę z kraju dobrych obyczajów. Obecnie tenże *Przegląd katolicki* a za nim *Kuryer warszawski* (który od czasów nieszczęsnego „paliusza" nie puszcza się o własnych siłach na wywody teologiczne) ubolewają, że „kwesta jest raczej dwudniową wystawą dam," że „system dzisiejszy ma w sobie coś *teatralnego,* niezgodnego z powagą świątyń, tem bardziej, iż przy nim ustrzedz się nie można zwracającej uwagę elegancyi i zbytku w odzieży, przywitań ze znajomymi, szeptów, a nawet głośnej rozmowy, a z drugiej strony między publicznością znajduje się wiele osób, które obchodzą kościoły nie z nabożeństwa, lecz dla przypatrzenia się kwestarkom, głoszonym jak przez afisze w dziennikach." No, i po co było rozdzierać szaty kapłańskie, gdy to samo pisał "pozytywista!" Są ludzie i pisma, dla których zdrowy rozsądek jest chlebem razowym, jadanym tylko dla odmiany po stęchłych ciastkach. I wtedy im smakuje.

Czy jako chleb razowy, czy jako stęchłe ciastka *Kuryer warszawski* i *Echo muzyczne*— uwiadamia nas o tem cyrkularz — mogą być nabywane przez członków Stowarzyszenia spożywczego urzędników drogi Nadwiślańskiej o 15% taniej wraz z obuwiem p. Żukotyńskiego i wędlinami p. Sielskiego. I znowu, rzec trzeba — jak się zmieniły czasy! Niedawno jeszcze *Kuryer warszawski* lekceważył sobie przyrost abonentów — dziś wabi ich łącznie z artykułami spożywczymi. Z niego kolejowcy skorzystać jeszcze mogą, ale na co im się przyda *Echo muzyczne i teatralne* — nie rozumiem. Wprawdzie wszystkie artykuły tego pisma zachwycają *Kuryer warszawski,* ale to nie racya, żeby gust ten podzielali urzędnicy z kolei Nadwiślańskiej. A może ona liczy tak wielu melomanów! Bądź co bądź, wolałbym, ażeby jej okólnik zapowiadał ulgi dla prenumeratorów *Inżenieryi i budownictwa* lub *Przeglądu technicznego* — dwu pism, które stowarzyszonym co najmniej równie są potrzebne, jak wina i likiery Kocha i Kułakowskiego, a bardziej — niż *Echo muzyczne i teatralne.*

. . . .

Ma się podobno odbyć wielka narada literacka w kwestyi: czy należy kota głaskać pod szerść, czy z szerścią. Ponieważ kotów nie chowam i nie głaszczę, więc w sejmiku udziału nie wezmę i o uchwale czytelników moich nie uwiadomię.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Słaba klisza. — Przyczyny upadku moralności. — Sezon pożarów. — Sponiewieranie tradycyi przez *Kuryera warszawskiego.* — Płocka szczerość. — Przeciwdziałanie truciznom. — Matka która zabija dziecko i ojciec który w dziwny sposób stara się o nie.—Kłopot sędziego.—Walka o rabina.

Napady, grabieże—oto najczęstsze wieści z prowincyi do gazet.

Skargi na rozpasanie moralne, na rozprężenie obyczajów nie wyświetlają przyczyn tego stanu rzeczy, jak mu nie zapobiegnie zwiększona surowość karna. W umysłach naszych socyologów panuje w tym względzie dziwna plątanina. Brak represyi jest przyczyną zła, a zwiększenie jej — lekarstwem. Nie wierzę ja w skuteczność uniwersalnych środków i sądzę, że przed zapisaniem lekarstwa należy wprzód dobrze zbadać chorobę.

Oprócz przyczyn ekonomicznych, które stanowią zasadniczy podkład wszelkich objawów społecznych, na zwiększenie przestępstw, a właściwie mówiąc, na wytworzenie dziwnego chaosu w pojęciach moralnych ludu najdonioślejszy wpływ wywarła może nagła zmiana warunków jego bytu. Skrępowany cudzą wolą i cudzym kaprysem we wszystkich, nieraz nawet najdrobniejszych sprawach swego życia, wyrobił on sobie odrębny kodeks moralny, przepisy pańszczyźnianej, niewolniczej filozofii.

Przepisy te regulowały jego byt, ale kiedy poczuł się względnie swobodnym, panem nietylko swej osoby, ale i swej własności, kiedy otaczająca go atmosfera napełniła się niezdrowymi wyziewami kapitalizmu, który na naszym gruncie zgnił wprzód, zanim dojrzał — dotychczasowa filozofia chłopska okazała się niewystarczającą. Z czasów upodlenia i ucisku wyniósł lud pewną dwuistość pojęć, pewną obojętność na złe i dobre, teraz zaś zaplątał się w sprzecznościach i nadaremnie szuka z nich wyjścia. Ręki pomocnej nikt mu nie poda, wpływów dobrych nikt nań nie wywiera.

Godnem zaznaczenia jest również to, że właściwie nie tyle wzrasta ilość przestępstw, ile zmienia się ich charakter. Coraz częściej przybierają one znamiona gwałtu, napadu itd. Na fakt ten zwracamy mało uwagi, a jednak bodaj czy nie w nim właśnie leży klucz do rozwiązania zagadki. Jakie przyczyny sprawiają, że w niektórych prowincyach państwa kwitnie fabrykacya fałszywych pieniędzy (nad Wołgą); dlaczego białorusini dostarczają największego procentu świętokradców, Królestwo i zachodnie gubernie, w których mieszkają żydzi — oszustów i fałszerzy? Kraj nasz odznacza się i pod innym względem, góruje on nad innemi prowincyami liczbą takich przestępstw, jak: opór władzy, naruszenie przepisów, wreszcie czyny gwałtowne, napady, rozboje itp. Pod tym względem przewyższa go tylko chyba Kaukaz. Nasi „najserdeczniejsi" dopatrują przyczyn w charakterze narodowym, plotą trzy po trzy o zajazdach, wyciągają na świadka Protazego, umykającego w konopie. Jest jednak inne jeszcze objaśnienie, ale dla braku miejsca i tysiąca innych przyczyn okładam je na później; zresztą czytelnik sam może sobie w duszy dośpiewać.

Łódź daje nam ilustracyę, w jaki sposób wpływają na zwiększenie przestępstw przyczyny ekonomiczne. W skutek panującego zastoju tysiące robotników pozostały bez zajęcia. Położenie ich jest tak rozpaczliwem, że wzruszyło nawet niezbyt czułe serca pp. fabrykantów, którzy najprzód chcieli pozbyć się kłopotu, wydalając z miasta niemających roboty, a kiedy ten dowcipny środek nie powiódł się, z pobudek dobrze zrozumianego własnego interesu otworzyli kieszenie i złożyli kilka tysięcy rubli na tanie kuchnie. Ale czy skorzystają z nich ci, którzy nie mają już ani grosza i żywią się (np. ten o którym opowiada *Dziennik łódzki*) połową szpitalnej porcyi, jaką mu oddaje chora obłożnie żona?

Otóż w Łodzi liczba przestępstw w ostatnich czasach wzrosła niepomiernie; zdarzyło się nawet kilka wypadków świętokradztwa. Najprzód zaczęto od kościoła katolickiego, następnie oporządzono protestancki; jeżeli są w Łodzi świątynie innych wyznań, nie minie je zapewne kolej.

Niema wątpliwości, że wkrótce już mieć będziemy lato, bo zaczyna się już pora pożarów. Pierwszy występ odbył się wcale niczło: w Tarłowie spaliło się trzydzieści kilka domów, w Mordach aż dwa pożary, w Białej spłonęło coś tam także — a wszystkie przedstawienia odbyły się według znanego programu. Ale posłuchajmy lepiej *Kuryera warszawskiego,* opisującego pożary w Mordach: „Zgodnie z tradycyą oba wynikły z podpalenia i wszystko też odbyło się w należytym, tradycyjnym porządku, a mianowicie zabrakło wody, sikawka okazała się zepsutą, nie mówiąc o tem, że klucza od szopy, w której była umieszczoną, na razie znaleźć nie było można." Widocznie coś się popsuło w królestwie „czci dla wielkich wspomnień," kiedy *Kuryer* ośmielił się wyznać, że nie każda już tradycya jest dobrą. Doprawdy nie mogę sobie wytłomaczyć tej zagadki, której rozwiązania szukać należy zapewne w kasie *Kuryera Codziennego;* czyżby *tradycya* i jej poszanowanie przestały już być korzystnym interesem?

Z okolic Rypina piszą do *Korespondenta płockiego,* że emigracya włościan tamtejszych do Ameryki przybierać zaczyna poważne rozmiary. Pierwsi wychodźcy trafili szczęśliwie; w ciągu lat kilku zebrali nieco grosza, którego część przysłali do kraju krewnym. To zachęciło innych, wyprzedaż gruntów dała środki na podróż i z wiosną spora gromadka opuszcza rodzinną ziemię, która częściej była im macochą, niż matką. Charakterystycznym jest naiwny wybryk korespondenta, który wypowiedziawszy parę pięknie brzmiących zdań ze stanowiska ogólnych interesów, dodaje na końcu, że jeżeli ruch rozwinie się na większą skalę, „skąd my weźmiemy robotnika?" Ten przynajmniej szczerze powiedział, co myśli, ale dla uważniejszego wzroku ów „tani robotnik" wyłazi zawsze, jak szydło z worka, z pod obsłonek patryotycznych frazesów.

Już to wogóle płoczczanie odznaczają się widać szczerością. Drugi korespondent miejscowej gazety opowiada rozmowę z pewnym spadkobiercą znacznego majątku i dobrze zasłużonego krajowi nazwiska. Chodziło o wsparcie dla szkoły powiatowej podtrzymywanej prywatnymi środkami; od pana X. zażądano, żeby za przykładem ojca ofiarował jaki fundusz.

— Co? ja mam dać na szkołę — odparł— ani myślę. A to po co?... Żeby powstawał proletaryat umysłowy, żeby się więcej socyalistów tworzyło. Kto niema na naukę, niech się nie uczy!

Naecchowane słusznem oburzeniem uwagi korespondenta polecam do przeczytania p. Soplicy i innym... jakby tu powiedzieć? no... szlachcicom z *Niwy.*

Gazeta kielecka zwraca uwagę na fakt, że w sferze włościańskiej mnożą się coraz bardziej wypadki umyślnego otrucia. Jest to bardziej cywilizowany sposób zgładzenia człowieka, aniżeli uderzenie go pałką, ale szkodliwszy jeszcze, bo łatwiejszy do ukrycia. Włościanie tak już przywykli do tego, że teraz wypadki nagłej śmierci tłomaczą już nie „zadaniem uroku" — jak poprzednio — ale zupełnie racyonalnie zadaniem trucizny. Zapewne trzeźwy taki pogląd byłby pocieszającym, gdyby doświadczenie, które do niego prowadzi, nie kosztowało za drogo. Mówię to w przenośnem znaczeniu, bo prawdziwa trucizna kosztuje bardzo tanio i to właśnie wpływa na powszechne jej użycie.

W pogranicznych miasteczkach żydzi sprzedają jawnie prawie przemycane z Galicyi trujące preparaty. Ponieważ policya za mało zwraca na ten handel uwagi, słusznie sądzi *Gazeta,* że sędziowie śledczy przy badaniu powinni starać się koniecznie

wykryć, skąd i od kogo kupioną była trucizna.

Jeżeli mieszkańcy tamtejszych okolic nie są w należyty sposób zabezpieczeni od działania zwykłych jadów, to jednak na pewno powiedzieć można, że trucizna moralna nie przedostanie się nigdy do ich spokojnych siedzib.

W okolicach Mińska spełnioną została potworna zbrodnia. Szynkarka izraelitka zamordowała wędrownego kramarza. Widziała to jej sześcioletnia córeczka i opowiedziała przybyłym do karczmy chłopom. Kiedy ci powrócili z miejscowemi władzami, nie zastali już dziewczynki i dopiero po długich poszukiwaniach znaleźli w piecu zwęglony jej trup. Wyrodna matka w ten straszny sposób pozbyć się chciała jedynego świadka swej zbrodni.

Odwróćmy oczy od tego ponurego widoku wynaturzenia się z uczuć właściwych nawet zwierzętom i przypatrzmy się rodzajowemu obrazkowi, wręcz przeciwnego charakteru. W okolicach Mielnicy na Wołyniu mieszkał bezdzietny włościanin. Trapiło go to niezmiernie, zapragnął wesołego uśmiechu i szczebiotu dziecka w domu, a może więcej jeszcze dolegał mu brak pastucha do gęsi lub świń. Bądź co bądź postanowił zaradzić biedzie i wynajął sobie młodego parobka, który za całoroczne utrzymanie i 10 rs. wynagrodzenia zobowiązał się zadość uczynić jego życzeniu. Rzeczywiście nie upłynęło jeszcze roku i gospodarz został szczęśliwym ojcem. Ale szczęście posiadania dziedzica skromnej chudoby uczyniło go skąpym i odmówił parobkowi obiecanej płacy. Obaj ojcowie tytularny i rzeczywisty udali się do sędziego pokoju. Naiwny parobek w prostocie ducha opowiedział fakt i na poparcie swego żądania powtarzał wciąż jedno: „starałem się jak dla samego siebie, chłopczyk taki ładny wyszedł a on chce mnie skrzywdzić.“ Sędzia i audytoryum nie mogli się wstrzymać od śmiechu, perswazye nie skutkowały, wreszcie po długich targach strony pogodziły się w ten sposób, że „pracowity zastępca“ otrzymał 6 rubli.

W niemniejszym kłopocie znalazł się zapewne sędzia w Mohylewie. W szynku dymisyonowany żołnierz założył się z szewcem o 5 rubli, że zje cały but. Bohater polał but tłuszczem, przypiekł go na węglach, zaczął jeść i zjadł cały z wyjątkiem obcasów i podeszew. Szewc odmówił wypłacenia 5 rubli, żołnierz wtedy podał na niego skargę, dowodząc, że przy jedzeniu mięsa wyrzuca się przecież kości i że właśnie w bucie analogiczne stanowisko zajmują obcasy i podeszwy.

Maleńkie miasteczko Nadarzyn słynie swoim rabinem, który oprócz religijnych cnót posiada jeszcze cudowny dar leczenia od bezpłodności. Mieszkańcy pobliskiego Tarczyna pozazdrościli im posiadania tak znakomitego męża i postanowili koniecznie sprowadzić go do siebie. Namowy i obietnice nie skutkowały; wtedy waleczni tarczyńcy zdecydowali się porwać cadyka. Pewnej nocy na czterdziestu furach wjechali do Nadarzyna i otoczyli dom, w którym mieszkał. Ale współobywatele wielkiego męża czuwali; w jednej chwili zebrały się tłumy obrońców, tarczyńcy pierzchnęli w nieładzie, pozostawiając jako łup wozy, które nadarzyńcy poniszczyli, porąbawszy koła i zaprzęgi. Właściciele furmanek włościanie udali się do sąsiedniej wsi po pomoc, której im chętnie udzielono i o mało nie przyszło do antysemickiej bójki. Wynagrodzenie natychmiastowe szkód zapobiegło jedynie rozruchom.

Nil.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 2 kwietnia.

Wyniki porozumienia się Niemiec z Rosyą. — Bismark contra Puttkamer. — Niepowodzenia anglików.—Depretis bismarcheggia.—Pogłoski o dymisyi Taaffego.—Rozruchy w Cincinnati.

Porozumienie się Niemiec z Rosyą wyprowadziło na stół odwieczną sprawę wzajemnego rozbrojenia, pozostanie ona jednak pobożnem życzeniem dzienników, ale nie faktem, który może mieć widoki urzeczywistnienia w bliskiej przyszłości. Większe już znaczenie posiada druga kwestya, podniesiona jakoby przez Rosyę, sprawa wolnej żeglugi przez cieśniny, istniejącej niby w zasadzie, ale skrępowanej różnymi paragrafami berlińskiego traktatu i późniejszych konwencyj. Przeciwną temu jest Austrya, prawdopodobnie więc do czasu dla miłej zgody i ta sprawa zaniechaną zostanie.

Zabezpieczony zewnątrz zwraca się Bismark z energią do spraw wewnętrznych. Rozprawy o ustawie przeciw socyalistom nie idą w komisyi po jego myśli. Centrum zajmuje wyczekujące stanowisko i jeden z przedstawicieli tej partyi, Reichensperger wyraził się, że swobodę daną kościołowi i środki prawne uważa za zupełnie wystarczające.

Sprawa ugody z Kuryą posuwa się również powoli, chociaż rząd czyni znaczne ustępstwa. Niedawno właśnie zniesioną została t. z. ustawa obroczna w archidyecezyi kolońskiej. Na mocy jej pensye i dochody należne wydalonym księżom szły do kas rządowych. Dziś ustawa ta obowiązuje tylko w Poznańskiem, posłowie polscy więc zamierzają wnieść interpelacyę. Podobno rząd chce ich uprzedzić i znieść jak najprędzej to wyjątkowe prawo.

Ile razy Bismark jest w złym humorze albo zamyśla wykonać jaki zwrot niespodziewany w polityce, tyle razy pada ofiarą jeden lub kilku ministrów. Tym razem przyszła kolej na Puttkamera. O nieporozumieniach między dwoma ministrami krążą najrozmaitsze pogłoski; faktem jest, że Bismark postanowił usunąć „kolegę.“ Czy w tym razie użył sposobu, którym niejednokrotnie posługiwał się z powodzeniem, mianowicie groźbą dymisyi ze stanowiska ministra handlu i prezesa pruskiego ministeryum? Półurzędowe pisma twierdzą, że chce pozostać jedynie na urzędzie kanclerza.

Z Sudanu dochodzą coraz niepomyślniejsze dla anglików wieści. Przepadł wprawdzie Osman-Digma, ale Mahdi (który nb. oświadcza, że nigdy za proroka się nie uważał) odrzuca stanowczo pokojowe układy i grozi wojną na śmierć. Gordon, otoczony w Chartumie, może być zmuszony do poddania się, wycieczkę z twierdzy odparli powstańcy zwycięsko, wojska egipskie pierzchnęły bez bitwy prawie. Zbliżająca się pora upałów fatalnie oddziaływa na anglików, choroby mnożą się a oczekiwane pułki indyjskie nie nadchodzą. Probuje rząd angielski różnych sposobów i świeżo właśnie zawarty został traktat z Abissynią, powracający temu państwu zabrane niegdyś przez egipcyan prowincye w zamian za obiecaną pomoc; ale z pomocy tej nie wielka zapewne będzie pociecha.

„Depretis bismarkuje“ (bismarcheggia), tak określają opozycyjne gazety właśnie ostatnie wypadki i reorganizacyę gabinetu. Chodziło, jak się okazuje, w danym razie nie tyle o zmianę polityki, ile o zmianę niektórych nieprzyjemnych prezesowi ministrów. Po próbach utworzenia nowego gabinetu, próbach chybionych jakby naumyślnie, podjął się Depretis tego zadania i utworzył tymczasowy, w którym zasiada połowa dawnych członków.

W prasie austryackiej krążą pogłoski o dymisyi Taaffego, wywołanej wrzekomo waśniami narodowemi. Rzeczywiście niezdecydowana jego polityka długo trwać nie może. Jako domniemanego następcę wymieniają Coroniniego, bardziej zbliżającego się do centralistów, ale z zasady popierającego rząd. Są to, jak na teraz, mniej lub więcej uzasadnione domniemania, ale od nich do stanowczego faktu jeszcze daleko.

W Stanach Zjednoczonych, w Cincinnati, tłum ludu niezadowolony z wyroku sądu obległ więzienie a potem podpalił je. Wojsko i policya nie mogły zrazu przywrócić porządku; buntownicy zdobyli nawet jedno działo. Z obu stron poległo przeszło stu ludzi. Obecnie rozruchy zostały stłumione.

CUDZE GŁOSY.

Niedokładność. *Warsz. Dziennik* pomieszcza następującą notatkę historyczną:

„Wiadomo, że cesarz Mikołaj wysoko stawiał pamięć króla Jana Sobieskiego. Potwierdza to między innemi i następujący raport ministra hr. Stefana Grabowskiego. Cesarz i król—pisze w nim minister—zawiadomiony raportem prezyd. w Radzie adm. z d. 8 stycznia 1828 r., że w skarbcu kościoła OO. Kapucynów w Warszawie przechowane jest serce króla Sobieskiego dotychczas niepochowane i że w tymże kościele, wybudowanym przez króla na pamiątkę oswobodzenia Wiednia, niema jeszcze pomnika, któryby wskazywał potomności owe drogie szczątki króla bohatera i oswobodziciela chrześciaństwa, raczył oznajmić, że uważa dla siebie za prawdziwą przyjemność spłacić ten święty dług i dać tem jawny dowód szacunku, z jakim ocenia działalność i osobiste zasługi króla-bohatera. I dlatego też J. C. K. Mość raczył rozkazać, żeby bezzwłocznie przystąpiono do przeróbki kaplicy i postawienia w niej pomnika, nie zważając na wysokość wydatków.

Zgodnie z wolą Cesarza natychmiast zajęto się przeróbką kaplicy i postawieniem w niej pomnika; roboty wykonane były kosztem 25,390 zł. p. wypłaconych ze szkatuły cesarskiej. W dniu 26 czerwca (v. s.) 1830 r. kaplicę i pomnik uroczyście poświęcono. Na procesyi niesione były trofea, a śród nich i oryginalna chorągiew Mahometa, zdobyta przez polskie wojska przy odsieczy Wiednia.

Cesarz Mikołaj był rycerzem w całem tego wyrazu znaczeniu. Wziął Polskę jako państwo konstytucyjne i na krok jeden nie odstąpił od litery prawa. Nikt, nawet najwięksi jego przeciwnicy, nie mógł mu zarzucić, żeby w czemkolwiek odstąpił od konstytucyi. A do tego przecież tak wiele było powodów. Zimą r. 1828 położenie Rosyan na teatrze wojny z Turcyą było nieświetne. Chociaż Warnę wzięto, pod Szumlą za to szło gorzej, wojna obiecywała przeciągnąć się na czas nieokreślony, a tymczasem grasująca w wojsku dżuma i cholera zabierały masę ofiar. Wojsk była niedostateczna liczba. Tymczasem w Polsce była armia doskonale uorganizowana i wyćwiczona przez cesarzewicza Konstantego. Wobec pokojowych stosunków z Prusami i Austryą, łatwo bardzo byłoby armię polską przenieść do Turcyi. Lecz ponieważ podług konstytucyi wojsko polskie przeznaczone było wyłącznie dla obrony granic kraju, cesarz Mikołaj nie wywiózł z Polski ani jednego żołnierza.

Przy armii czynnej rosyjskiej znajdowało się zaledwie *kilku oficerów polskich*, odkomenderowanych dla nabrania wojennego doświadczenia. Oficerowie ci byli przy wzięciu Warny i stąd otrzymali nazwę „warneńczyków.“ Cesarz Mikołaj przy każdej sposobności okazywał szczególną sympatyę dla narodowości polskiej. Zaraz po wzięciu Warny, odbywając wjazd uroczysty do podbitej twierdzy, zwrócił się do okrążającej go świty i powiedział: „Teraz śmierć Władysława już odpłacona.“ Warna poddała się w d. 29 września a w dwa tygodnie potem 15 października 1828 r., cesarzewicz Konstanty pisał do prezydenta Rady adm. hr. Sobolewskiego: „Najjaśniejszy cesarz i król, wskutek wzięcia twierdzy Warny przez Jego zwycięskie wojska, gdzie król Władysław, jeden zje-

go poprzedników, padł śmiercią walecznych w bitwie z turkami pod murami twierdzy, na pamiątkę młodego bohatera i obecnego wzięcia Warny rozkazać raczył, ażeby dwanaście dział z liczby wziętych w twierdzy przywieziono do Warszawy i zachowano w tej stolicy. Proszę—pisze cesarzewicz—zawiadomić o tym nowym dowodzie ojcowskiej przychylności Cesarza i Króla."

Po wzięciu przez wojska rosyjskie Adryanopola, cesarz znów pamiętał o polakach. D. 4 paźdz. 1829 (nr. 5699) hr. Kuruta pisze do tegoż hr. Sobolewskiego: „Deżurny generał głównego sztabu JCM. generał - adjutant Potapow zawiadomił mnie, że z liczby trofeów wziętych w Adryanopolu, Cesarz rozkazał odesłać do Warszawy i pomieścić w kościele katolickim, chorągiew i trzy buńczuki; przeto odsyłam wspomnione trofea dla właściwego ich pomieszczenia."

Dotąd *Dniewnik*. Jeden punkt jego notatki, mianowicie wyrażenie, że przy armii czynnej rosyjskiej znajdowało się zaledwie „kilku oficerów polskich" zawiera według jednego ze świadków tego czasu, p. R. Antoszewskiego, znaczną niedokładność. „Omyłka jest podwójną — pisze on do nas: naprzód nie kilku, ale trzydziestu przeszło było odkomenderowanych na dwa lata, a powtóre nie wszyscy byli posłani dla nabrania doświadczenia, gdyż np. pułkownicy: Prądzyński, Wilson, kapitan Chrzanowski nabyli tego doświadczenia już w wojnach napoleońskich. Że zaś było ich przeszło trzydziestu, potwierdzić może żyjący dotąd Jan Świeszewski, prezes Towarzystwa Dobroczynności."

Źdźbło i belka. *Nordd. Allg. Ztg.* przytaczając wyrok sądu poznańskiego, karzący jednego z redaktorów polskich, z głębokiem zadowoleniem podkreśla następujące wyrazy: „Nakoniec obciąża oskarżonego jego rola, jako t. z. redaktora od siedzenia (w kozie). Niemoralność, spoczywająca w tym stosunku, charakteryzuje podsądnego, jako człowieka, który sprzedaje za pieniądze najświętsze dobra ludzkie—cześć i swobodę." Na to odpowiada *Frankf. Ztg.*:

„Nie źle, ale *Nordd. Allg. Ztng.* zapomina o swoim własnym dachu szklannym. Jeżeli p. Pindter, pozwany przez Karola Meyera za potwarczą obrazę, oświadczył przed sądem, że nie może być odpowiedzialnym za prawdę swej obelgi, gdyż odnośny artykuł został mu „nadesłany;" jeżeli w rok później zastępca p. Pindtera, p. Diedrich, oskarżony w innym procesie wyznał, że obelżywy artykuł przysłano mu w liście opatrzonym pieczęcią urzędową i na mocy powagi tej pieczęci oddany został do druku — to czy ci panowie nie przedstawiają się jako redaktorzy od siedzenia w kozie? A jeżeli godzą się na to, co sąd wyrzekł o niemoralności stosunku, zwłaszcza na charakterystykę redaktora od siedzenia w kozie, jako człowieka, który „za pieniądze sprzedaje najświętsze dobra ludzkie — cześć i swobodę"—kogo oni tem oznaczają."

Nie pierwszy to raz p. Pindter, wskazując w cudzem oku źdźbło, nie widzi w własnem — belki.

WYKŁADY PUBLICZNE.

I.

Teatr na Wschodzie.

(J. A. Święcicki).

Jakkolwiek p. Święcicki mówił o teatrze współczesnym w Persyi i w Japonii, jednakże przedstawił dwa zupełnie różne momenty rozwoju sztuki u ludów, stojących na różnym także stopniu kultury. Teatr perski w obecnym swym dziecięcym kształcie posiada jednak pewne podobieństwo do średniowiecznych misteryów i dyalogów, gdyż tak samo jest tylko pełnem naiwnej prostoty upostaciowaniem religijnej tradycyi a nawet, właściwie mówiąc, stanowi cząstkę religijnego kultu. Widzimy w nim samo szczere, religijne uczucie, ujęte w naiwne formy, spotęgowane przez gorący i wybujały fanatyzm. Jak przedmiotem widowisk średniowiecznych były głównie dzieje życia i męki Chrystusowej, upostaciowane wedle niekrytycznej tradycyi kościelnej, tak w dramacie perskim główny wątek stanowią tragiczne losy rodziny Alego, którego mahometańska ortodoksya uważa za jedynego spadkobiercę praw wielkiego proroka. Sama natura ludu, dla którego przedstawiane są te święte teorye, nadaje im koloryt gorącej, namiętnej egzaltacyi, różny zupełnie od skupionego i suchego mistycyzmu dramatów średniowiecznych, okraszonych często suchym i nagim morałem. Podobieństwo typowe jednak *teazyi* jest tak uderzające, że zwrócił na nie uwagę prelegent, a jakkolwiek starał się dać słuchaczom barwny i typowy obraz przedstawień scenicznych i charakterystykę samych utworów, nie zapuszczał się w krytyczno - porównawcze wywody, trudne zresztą do przeprowadzenia w formie popularnej pogadanki.

Teatr japoński nie dawał materyału do takich zestawień, gdyż w swoim rodzaju jest on już wykształconym i rozwiniętym płodem cywilizacyi, która się przeradza na innych drogach, przyswajając gotowe nabytki europejskiej kultury. Teatr ten pod względem zewnętrznym dąży do zupełnego złudzenia, stara się o podobiznę rzeczywistości, nie rachując podobnie jak teatr perski lub indyjski, na dopełniającą wyobraźnię widzów. Autorowie nie czerpią pomysłów z dziedziny teologicznej, ale malują obyczaje i stosunki realne, o ile im na to pozwala moralna cenzura opinii. Na wskróś realistyczny, pozbawiony idealnych dążeń smak japończyków, siląc się na nadzwyczajność, stwarza tylko dziwaczne potworności, które cechują ich poważny dramat, zarówno w treści, jak i w wykonaniu scenicznem. Nic dziwnego, że wpływ literatury zachodniej uwydatnił się także w niektórych nowych płodach japońskich ze strony skandalicznej, że wprowadził brudy domowe, cudzołóstwa i wiarołomstwa na scenę, gdzie nie dopuszczano dawniej przedstawienia dziejów serca kobiet uczciwych a treść miłosną ograniczano do przygód zalotnic, traktowanych z lekceważeniem i pogardą. Pomijając bliższe szczegóły charakterystyki teatru u obu ludów, rozwijającego się w tak odmiennych warunkach, przyznać należy, że p. Święcicki dał słuchaczom jasne wyobrażenie o przedmiocie, potrafił wykład ożywić malowniczem obrazowaniem, tu i owdzie okrasić błyskami komizmu. Słuchaczom udzielało się widoczne gorące zamiłowanie do przedmiotu a jakkolwiek wykład p. S. był streszczeniem cudzych badań i nie sięgał do zasadniczych estetycznych kwestyj, to jednak część jego krytyczna była rozwinięta dostatecznie, a talent krasomówczy prelegenta potrafił uwydatnić przymioty starannego i poetycznego stylu. *K.*

II.

Z pod głazów piramid.

(J. Kościelski),

Przeważnie oderwane lub oddalone przedmioty wybrał sobie tegoroczny zastęp prelegentów, krojąc swe chęci według możności. Bo znowu do Egiptu zaprowadził nas p. Kościelski. Jego wykład był opowiadaniem częścią podróżnika, częścią badacza. Prelegent oglądał kraj, o którym mówił, a posiadając czułą i lotną imaginacyę, przesunął przed słuchaczami szereg głęboko odczśniętych wrażeń i żywych obrazów, które umiał odmalować bogatym w barwy poetyczne językiem. Ta spowiedź ze wzruszeń osobistych tętniła niekłamanym zapałem i przelewała go w rozmarzoną przed fantastycznym kalejdoskopem publiczność. Zaiste widok z krawędzi żyznego przyłogu nilowego na jałową, bezbrzeżną pustynię musi przedstawiać potężny kontrast dwu tak odmiennych, a obok siebie leżących krajobrazów.

Jako badacz zajął się p. Kościelski głównie starożytną religią egipcyan, dla której usiłował wywalczyć charakter monoteistyczny. Czczone zwierzęta nie były, według niego, równorzędne z istotą najwyższą. Jest w tem twierdzeniu dużo racyi, ale warunkowej, bo nawet wyraźnie politeistyczne religie (np. heleńska) są zawsze, że tak powiemy, monarchiczne, tj. wszystkie bóstwa mniej lub więcej podlegają jakiemuś duchowi najwyższemu. Można w nich znaleźć monarchie ograniczone lub konstytucyjne, ale czystych republik dopatrzeć trudno. Jeżeli z tego stanowiska wychodzi p. Kościelski, to jego wywód był najzupełniej prawidłowym.

Chociaż prelegent wniosków sam nie wyprowadzał, uważny słuchacz nie mógł ich uniknąć przy opowiadaniu mitów religijnych, które mu przypominały w wielu punktach znajomą sieć legend z innego wątku wysnutych. Porównanie z gotową konkluzyą narzucało się samo, ucząc, że różne ludy i czasy albo pożyczają sobie pomysłów religijnych, albo je niezależnie w podobny sposób tworzą, a ta kanwa, na której cywilizacya późniejsza wysnuwa swoje wzory, utkana została przez fantazyę dziecięcą, pierwotną.

Sposobność do pouczających zestawień i wniosków była ważnym momentem odczytu p. Kościelskiego, za który podziękowano mu rzęsistym oklaskiem. *H.*

KRONIKA BIEŻĄCA.

Przyczynek do biografii „naszego znanego." Od p. O. D. odbieramy list następujący:

„Wyczytawszy w nrze 8 *Prawdy* obszerną wiadomość o Stanisławie Skrzyńskim, ucieszyłem się niezmiernie, że znalazł się szanowny człowiek, który poznawszy tego zucha bliżej, postawił go pod pręgierzem opinii publicznej; do podanego jednak opisu czuję się w obowiązku dodać jeszcze jeden fakt z działalności Skrzyńskiego na prowincyi, przed wyjazdem do Krakowa—fakt wyrafinowanego oszustwa.

Na jesieni w r. 1882, potrzebując nauczyciela dla przygotowania syna do szkół, udałem się do p. Załęskiej, utrzymującej kantor stręczeń na ulicy Niecałej w Warszawie, która mi zarekomendowała owego p. Stanisława. Ten przedstawił mi się jako *Stanisław Dunin Skrzyński, student uniwersytetu*, zawarł umowę i przyjechawszy na wieś, zajął się dość gorliwie swym obowiązkiem. Ale po trzech tygodniach pobytu pokazał mi list odebrany z poczty, niby od brata (jak się później okazało sfałszowany), donoszący mu o śmierci matki i zaczął niezmiernie rozpaczać. Któżby się nie wzruszył i nie uwierzył synowi opłakującemu stratę matki i los osieroconego małego rodzeństwa, nad którem on objąć ma opiekę? Ułatwiając mu tedy podróż na pogrzeb matki, dałem nowe zaliczenie i pożyczyłem ciepłego ubrania na drogę. Ale jak pojechał, tak dotąd nie wrócił, zarwawszy mię prostem oszustwem na rs. 100 przeszło. Wezwałem go potem do powrotu przez *Kuryer warszawski*, prosząc, ktoby o jego pobycie wiedział, aby mi o tem wiadomość udzielił, ale widać *Kuryer* mało jest w Krakowie czytany, bo p. Skrzyński najswobodniej dalej tam operował.

Szkoły. Sześcioklasowe progimnazyum w Wilnie z rozporządzenia ministeryum zamienione zostało na gimnazyum; w Kijowie otwarto jedno jeszcze gimnazyum w peczerskiej części miasta.

Przystań na Wiśle pod Sandomierzem zostanie wkrótce ukończoną. Ministeryum komunikacyi wyasygnowało na ten cel potrzebną sumę.

Odpowiedź. Autor rubryki „Z prasy" w *Gazecie rolniczej* coraz mniej zaczyna rozumieć, co czyta. *Prawda* nie myślała dziwić się, że „grono pozbawionych zarobku robotników wysadzi dynamitem fabrykę, albo pałac byłego chlebodawcy," mowa była tylko o lekceważeniu życia tysiąców zgoła *niewinnych* ludzi. To chyba co innego.

Teatry amatorskie. Działalność towarzystw scenicznych ma na przyszłość podlegać kontroli zarówno pod względem cenzury sztuk, jak i wydawania pozwoleń na urządzenie przedstawienia. Kontrolę tę pełnić będą władze naukowe. Nie wiadomo, czy rozporządzenie odnosi się do wszelkich przedstawień, czy też tylko do stale zorganizowanych kółek amatorskich.

Bibliografia polska. J. Szastecki *Gramatyka czeska* (z zapomogi Kasy im. Mianowskiego), Warszawa.

— Dr. E. Krzymuski *Zasady nauki o usiłowaniu przestępstw*, Warszawa.

Z prasy. *Świtu*, pisma dla kobiet, pod redakcyą Konopnickiej, wyszedł nr. 1.

Koncert na dochód rodziny po Moniuszce, złożony z utworów mistrza, przyniósł około 2000 rs. zysku, które mają stanowić fundusz stały, procentujący.

Kółko—wychowańców maryampolskiego gimnazyum przetłomaczyło na język litewski hymn rosyjski „Boże Cesarza chroń“ i pieśń „Mnogaja lieta.“ Przekład ten, wydrukowany czcionkami rosyjskiemi, w znacznej liczbie z polecenia władzy rozpowszechniany jest między ludnością litewską.

Pośmiertne pisma Heinego. Campe z Hamburga nabył zbiór niewydanych i nieznanych rękopisów wielkiego poety; znajdują się pomiędzy nimi podobno rzeczy niepośledniej wartości: poezye, artykuły polemiczne, testament i luźne ułamki wierszem i prozą. Utwory te wkrótce ogłoszone zostaną drukiem.

Statystyka cukrownictwa. Podczas ostatniej kampanii cukrowej (1883—4 rok) zasiano buraków cukrowych 273,761 dziesiatyn. Urodzaj, wbrew tendencyjnie rozpuszczonym przez gazety pogłoskom, był dosyć pomyślny, bo wynosił 23 berkowce z dziesiatyny. Wydajność cukru była zresztą większa; spodziewanem jest około 19,000,000 pudów. Pomimo więc sztucznych wysiłków ceny cukru muszą spaść i spadają.

Uchylanie się od służby wojskowej. W całem państwie rosyjskiem uchyliło się od zaciągu 29,258 popisowych, w tej liczbie prawie połowa, bo 14,878 żydów. Ponieważ do wojska kwalifikowało się wogóle 39,000 starozakonnych, blisko więc $^2/_5$ ich nie stawiło się do poboru. Stosunek ten większym jest w pojedynczych guberniach: w mińskiej np. na 2057 zbiegłych wypada 1935 izraelitów, w grodzieńskiej na 1364—1228, w wołyńskiej na 1567—1324 itd. Z powodu tych cyfr gazety rosyjskie robią uwagę, że kto żąda równouprawnienia winien w równej mierze spełniać i obowiązki.

Macierz litewska. Sprytny korespondent *Now. Wremieni*, p. Mołczanow odkrył, że pod tym jakoby tytułem istnieje w guberniach północno-zachodnich tajne stowarzyszenie *pochodzenia galicyjskiego*, rozpowszechniające litewskie książeczki, nacechowane nienawiścią do Rosyi. Nieznajomość języka litewskiego zaszkodziła jednak dowcipnemu spostrzegaczowi, bo mniemane cytaty z owych litewskich książeczek przytoczył — *po polsku!*

Muzeum Kopernika w Rzymie otwarte zostanie uroczyście w ciągu nadchodzącego lata.

Nowy autor. Za przykładem b. ministra hr. Wałujewa, generał Kryżanowskij, dymisyonowany gen.-gub. orenburski, napisał powieść historyczną p. t. *Córka Ałajar-chana.* Pisma rosyjskie żałują, że autor wziął temat historyczny; roztrwonienie t. z. ziem baszkirskich, jakie zdarzyło się właśnie podczas jego rządów, nadawało się wybornie do stworzenia szeregu rodzajowych obrazków i o tym fakcie mógł generał dużo ciekawych a publiczności nieznanych rzeczy powiedzieć.

Źródła nafty nader obfite odkryto w Szwajcaryi; analiza wykazała jednak, że produkt gorszy jest od nafty galicyjskiej i amerykańskiej.

Korsarze. Mieszkańcy Jabłonny i okolicznych wiosek w nocy na łódkach napadają na przejeżdżające tratwy i berlinki, chwytają, co się da, najczęściej pęki lin. Poszkodowani nic im poradzić nie mogą, ponieważ rabusie, dostawszy się do brzegu, znajdują liczną pomoc.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. M. Kos. w Kijowie. Właśnie i my zwróciliśmy się do Petersburga o wskazanie nam osoby do takiego pośrednictwa odpowiedniej.

P, A. J. w Czehrynie. Jeżeli o każdej ważniejszej książce dajemy sprawozdania, to czegoż jeszcze w dziale krytycznym brak? W Poznaniu niema dosłownie ani jednego literata, który mógłby pisywać korespondencye wolne od domieszek klerykalnych i konserwatywnych. Co do nakładów o zniżonej cenie — odstępujemy je na tych warunkach, na jakich otrzymaliśmy, pozostawiając sobie tylko... trudy i koszta administracyi. Chyba z naszej strony—dosyć.

M. M. Artykuł pański zawiera wiadomości zbyt elementarne i znane.

Lekarzowi. Niech Pan będzie spokojny—dopilnujemy.

P. Edwardowi B. w Charkowie. Za przyjacielskie wyrazy listu Panów dziękuję serdecznie. Wierzcie, że najmilszą mi zawsze była sympatya młodzieży uniwersyteckiej. W tym okresie życia ludzie nie mają zwykle jeszcze zmrożonego serca, rozumu do wynajęcia a sumienia na sprzedaż, dlatego kochają gorąco, postępują uczciwie i sądzą szczerze. Przyjmijcie serdeczny uścisk ręki. *Poseł prawdy.*

T. K. Z. Słownik—gramatyka — tłomaczenie utworów wzorowych i jak najczęstsza rozmowa z krajowcami.

Studentom z Kijowa. Rs. 15 odesłaliśmy do Poznania.

OFIARY.

Dla biednych. Z. W. z Ol. kop. 10, Rembowska z Chruściny

Dla rzeźbiarki. F. M. P. rs. 1.

Dla studentek w Petersburgu. Bezimiennie rs. 2; Albin K. kop. 20; J. K. z T. kop 50; Joanna Zaleska rs. 5; Marya Przyszychowska rs. 3; Rudolf Przyszychowski rs. 2; Felicyan Przyszychowski rs. 2; Kazimierz Przyszychowski rs. 1; Ludwik Haułkiewicz rs. 3; M. R. rs. 1; W. P. rs. 1; Aleksander Zaleski rs. 1; z Elizawetgradu bezimiennie rs. 1.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 23 Марта 1884 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.